

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 38.

Hel. J. 164

PODRÓŻ

VII

DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO

Fridtjofa Nansena

w przekładzie
i z przedmową

Stanisława Janiszewskiego.

(Z ILUSTRACYAMI)

TOM I.

Fridtjof Nansen

Cena 40 kop.

W prenumeracie 30¹/₂

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

47. Nowy-Swiat 47.

1898.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10	}	Rocznie. . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów).	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów).	„ 1 „ 50

KOMITET REDAKCYJNY:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

SEKRETARZ REDAKCYI

Edward Nicz.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

fol



159 2K

910.4(26):913(98)

929-051A/2 4

SN 1770

WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
17. Teodor Jeske-Choński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Remborskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
 - 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
 24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
 31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 - 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłumaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 - 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 38. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego*.
-

Fridtjof Nansen.

PODRÓŻ DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO

W przekładzie i z przedmową

Stanisława Janiszewskiego,

inż. gór.

(Z ILUSTRACYAMI).

TOM I.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Мая 1898 года.

PRZEDMOWA.

Żaden z dotychczasowych podróżników nie dotarł tak daleko na północ, jak Nansen, i żaden też nie poczynił tak ważnych odkryć geograficznych. Stało się to w części, dzięki wyjątkowej energii i wytrwałości sławnego dziś na cały świat Norwergczyka, w części, dzięki racjonalnej budowie statku, na którym odbył połowę swej podróży.

Według pomysłów Nansena zbudowany okręt oparł się zwycięsko naporowi lodów, którym uległy statki wszystkich poprzednich wypraw podbiegunowych.

Autor też sam przygotowywał się do swej wyprawy przez lat kilka, studyując północne okolice odbywając wycieczki pieszo po Grenlandyi.

Głośną swą podróż rozpoczął w r. 1894, a skończył w r. b.

W dziele niniejszem znajdzie czytelnik szczegółowy opis całego jej przebiegu, pomimo, że tłumaczenie jest dość znacznie skrócone.

Skrócenie zaś okazało się koniecznem, ponieważ z samego monotonnego kolorytu zwiedzanych okolic wynikały nieskończone powtarzania, osłabiające zajęcie czytelnika

Z tych powodów, rozpoczynając pracę z wydania niemieckiego, dałem pierwszeństwo znacznie krótszemu francuskiemu, z którego ów niepotrzebny balast już w znacznej części został usunięty.

Z rysunków redakcyja dała również to tylko, co przedstawiało szerszy interes, usuwając czysto prywatne popisy, dotyczące pojedynczych członków wyprawy.

Dołączona w końcu II tomu mapka geograficzna wskaże właściwą drogę Nansena.

Nie mając pretensyi do zastąpienia wielkich wydań wykwinnych ¹⁾, redakcyja *Biblioteki* chciała dać jednak wierny obraz całej tej podróży, zdolnej w najchłodniejszym czytelniku obudzić podziw dla nieustraszonej odwagi i niespożytej energii ludzi, którzy dla dobra nauki narażali swoje życie.

¹⁾ Wydanie niemieckie kosztuje u nas 10 rs. — francuskie 5 rs. — nasze 50 kop. (Przyp. Wyd.)

St. Janiszewski,
Kand. n. Przyr., Inż. Górn

Bietknięte stopą ludzką, drzemały od początku świata ogromne przestrzenie ziem północnych, jak olbrzym, który, rozciągnawszy się pod płaszczem lodów, marzy o swoich tysiącowiekowych dziejach.

Pierwszymi żeglarzami, którzy stanęli do walki z lodami północy, byli przodkowie nasi (Norwegów), starzy Wikingowie.

Podczas gdy marynarze innych krajów nie wazyli się opuszczać brzegów morskich, ci, już w początkach VIII w. śmiało wypływając na pełne morze, odkryli Islandyę i Grenlandyę.

W sąsiedztwie tych, dotychczas nieznanych krajin, napotykali olbrzymie kry lodów i poznali właściwe im niebezpieczeństwa. Dokument z XIII wieku „Konge speil“ (Zwierciadło królów) zawiera wcale dokładny opis tych mas lodowych. Jest on nadzwyczaj charakterystyczny w epoce, kiedy badaniem zjawisk natury wcale się nie zajmowano.

W kilka wieków po Normandach walkę z lodami podjęli Anglicy i Holendrzy.

Wierząc w istnienie otwartego morza na północy lądów stałych, żeglarze Europy północnej dłu-

go szukali w tym kierunku przejścia, prowadzącego do Chin i Indyi. Wszędzie znajdowali drogę zamkniętą, ale nie zrażając się niepowodzeniem, prowadzili wciąż poszukiwania. Jeżeli morze było otoczone lodami około Grenlandyi, Szpicbergu i Nowej Ziemi, to za to powinno być wolnem w okolicach położonych bardziej na północ. Tak rozumowali ówcześni marynarze i w dalszym ciągu próbowali znaleźć drogę wodną do bieguna północnego.

Jakkolwiek błędem było to przypuszczenie, jednak przyczyniło się znacznie do powiększenia wiedzy naszej o ziemi.

Wyprawy te nagromadziły bogaty materiał obserwacyjny i zmniejszyły obszar nieznanych okolic.

Zarówno dawniejsi, jak i nowożytni podróżnicy starali się przeniknąć do krain podbiegunowych wielce rozmaitemi drogami i z pomocą najrozmaitszych środków.

Pierwszych usiłowań dokonano na statkach, mało przystosowanych do podobnego celu. Wątle normandzkie łodzie, bez pomostów, lub dawne statki (caravalles) holenderskie i angielskie nie posiadały ani szybkości, ani wytrzymałości, niezbędnej do opanowania loców. Z czasem jednak sztuka budowania okrętów posunęła się naprzód i statki lepiej przystosowywano do podróży wśród lodów. Ludzie też z rosnącym zapalem szturmowali groźne kry północy.

Na długo przed rozpoczęciem podbiegunowych wypraw, ludy północnych stron Azji i Ameryki używały do przebiegania zamarzłych pustyń sani, ciągnionych przez psy. Sposób ten został zastosowa-

ny do badania krain podbiegunowych w Syberyi. W XVII i XVIII stuleciu Rosyanie przedsiębrali podróże na saniach dla wyznaczenia brzegów północno-azyatyckich, poczynawszy od granicy z Europą, aż do cieśniny Berynga. W takich saniach nawet udało im się przejść olbrzymie ławy lodu pływającego i dotrzeć do Nowej Ziemi, położonej na północ od lądu stałego.

Podróżnicy amerykańscy także dosyć wcześnie poczęli posługiwać się saniami, ciągnionymi przez ludzi. W ten sposób, posuwając się po lodach pływających, Albert Morkham dokonał najśmielszego z podejmowanych dotychczas przedsięwzięć, mianowicie dotarł aż do oceanu Północnego, do 83° 20' szerokości północnej.

Parry pierwszy wprowadził w użycie trzeci, najlepszy sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce, polegający na współczesnem użyciu sani i łodzi. Pozostawiając okręt swój na północnym brzegu Szpicbergu, oficer ten zapuścił się w głąb' lodów pływających, ciągnąc za sobą łodzie na saniach i w ten sposób doszedł do najwyższej szerokości, mianowicie 82°45', jaka za jego czasów została osiągnięta. Ponieważ prądy morskie pociągnęły za sobą na południe ławę lodową, po której z trudnością włókł się ku północy, musiał więc w końcu zawrócić.

Za pomocą tak rozmaitych sposobów podróżnicy próbowali dostać się do okolic bieguna północnego czterema rozmaitemi drogami:

Cieśniną Smitha, dwoma odnogami szerokiej części morza, zawartej pomiędzy ziemią Franciszka Józefa i Grenlandyą, i w końcu cieśniną Berynga.

W ostatnich czasach najczęściej próbowano drogą przez cieśninę Smitha.

Ponieważ Amerykanie utrzymywali, że w tej części morza winny istnieć okolice, zupełnie wolne od lodów, rozciągające się daleko na północ, podróżnicy, naturalnie, wybierali drogę przez cieśninę Smitha.

Na nieszczęście, istotny stan rzeczy był zupełnie inny. W wązkim tem przejściu między Ameryką północną a Grenlandyą prądy morskie unoszą olbrzymie kry lodowe ku południowi. Masy te lodowe, szybko posuwając się naprzód, zatrzymywały okręty i zmuszały je do ucieczki ku brzegom.

Najwięcej godnem uwagi usiłowaniem w tym kierunku była wyprawa Naresa (w 1875—1876 r.). Do niej należał, jako jeden z oficerów, Morkham; kosztem niesłychanych wysiłków dosięgnął on, jak już wspomnieliśmy, 83° 20' szerokości północnej, najdalej, jaką poznano za jego czasów. Po wyprawie tej, podług zdania Naresa, niepodobieństwo przejścia aż do bieguna północnego tą drogą stało się oczywiste.

Podczas pobytu w tych okolicach wyprawy Greely, porucznik Lokwood przekroczył szerokość osiągniętą przez Markhama tylko o 4 minuty. Do czasów naszej podróży Amerykanin ten zdobył „rekord świata“ w pochodzie na północ.

W szerokim przejściu morskim, rozciągającym się między Grenlandyą a Szpicbergiem, podróżnicy musieli się zatrzymywać na wysokościach daleko mniejszych. W 1869—70 wyprawa niemiecka, pod przewodnictwem Koldwey'a, nie mogła przejść po za

77° szerokości; podróż tę odbywano na saniach, wzdłuż wschodnich brzegów Grenlandyi. Brzeg ten omywany jest prądem północnym, unoszącym z sobą olbrzymie masy lodów. Wskutek tego pochód na północ w tym kierunku nie przedstawia żadnych widoków powodzenia. Od strony Szpicberga warunki są daleko łatwiejsze. Prąd ciepły, płynący wzdłuż brzegów wschodnich tego archipelagu, uwalnia morze od lodów aż po za 80° szerokości. Zresztą nigdzie indziej nie można tak łatwo osiągnąć szerokości więcej północnej wśród wolnych wód. Więcej ku zachodowi położenie lodów jest mniej przyjazne, a tem samem nadzwyczaj mała ilość wypraw kierowała się w te strony

Najgodniejszym uwagi usiłowaniem była wyprawa Weyprehta i Payera (1872 — 74), na północ od Nowej Ziemi.

Otoczony lodami na wysokości północnej kończyny tej ziemi okręt austro-węgierski został porwany prądem morskim i w końcu odkrył Ziemię Franciszka Józefa. Ciągnąc dalej swą drogę na północ, Peyer dosięgnął 82° 5'. Od tego czasu ziemię tę zwiedził tylko Leigh Smith i wyprawa angielska Jacksona Harmswortha, która i obecnie tam przebywa. Pierwszem usiłowaniem dostania się do bieguna północnego przez cieśninę Berynga była ekspedycja Cooka w 1776 r.; ostatniem, nieszczęśliwą wyprawą wa „Jeanetty.“ Uwięziona pomiędzy krami lodowemi 6 sierpnia 1879 roku na północo-zachodzie od ziemi Wrangla, „Jeanetta,“ zbaczając ukośnie, w ciągu dwóch lat, w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, rozbiła się na północy od wysp Nowo-Syberyjskich

Widzimy więc, że na wszystkich dotychczas obieranych drogach kry lodowe stanowiły nieprzebytą zaporę, hamującą wysiłki ludzkie.

Dla uwolnienia się zatem od naporu lodów należało wymyślić nowy sposób przedostania się do stref podbiegunowych i wybrać nową drogę.

W 1881 roku, jak wyżej powiedziałem, „Jeanetta“ została rozbitą na północy od Archipelagu Nowo-Syberyjskiego, po dwuletnim błędzeniu po oceanie Północnym, w pobliżu Syberyi.

W trzy lata później szczątki autentyczne tego statku odkryto na bryle lodu, w pobliżu Julianehaab, w sąsiedztwie kończyny południowo-wschodniego brzegu Grenlandyi.

Prawdopodobnie więc bryła lodowa, obładowana szczątkami temi, dostała się tam przez morze Północne. Pytanie, jaką drogą? Oczywiście nie przez cieśninę Smitha, w wązkim tem przejściu bowiem prądy morskie, przepływające wzdłuż brzegów ziemi Baffina i Labradoru, niosły kry lodowe ku brzegowi amerykańskiemu, a nie ku Grenlandyi. Bryła lodowa, o której mowa, nie mogła osiągnąć Julianehaabu inaczej, jak tylko będąc porwaną prądem północnym, płynącym ku południowi wzdłuż brzegów Grenlandyi i wracającym po uprzednim okrążeniu przylądka Farwel cieśniną Dawisa. Nie można było o tem wątpić. Należało tylko wyświecić drogę, którą ta bryła lodowa posuwała się od wysp Nowo-Syberyjskich ku wschodniej części Grenlandyi. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, szczątki okrętu, po rozbiciu, zboczyły na północo-wschód, niesione przez ocean Północny około Syberyi prądem

morskim, płynącym w tym kierunku; następnie, przeniósłszy się na północ od ziemi Franciszka-Józefa i Szpicbergu, prawdopodobnie w sąsiedztwo bieguna północnego, przedostały się do wód omywających Grenlandyę wschodnią i zostały porwane następnie na południe prądem północnym, wzdłuż tych krain. Przy tegoczesnym stanie wiadomości hydrograficznych jest to jedyna możliwa droga.

Odległość od wysp Nowo-Syberyjskich do Julianehaab drogą wyżej oznaczoną wynosi mniej więcej 2,900 mil morskich. Znalezione w Grenlandyi szczątki przebyły tę drogę w ciągu 1,110 dni, t. j. ze średnią szybkością 2,6 mili morskiej w przeciągu 24 godzin; cyfra powyższa zgadza się ze średnią szybkością prądów morskich, dotychczas znanych.

Inne wyprawy, o mniej bijących w oczy skutkach, niemniej dowodzą przyływu wód syberyjskich do brzegów Grenlandyi. Nie brak też i innych dowodów. Znaleziono naprzykład na tych brzegach maszynę do rzucania strzał, niewątpliwie pochodzenia syberyjskiego, gdyż obrobieniem swem różni się niezmiernie od takichże maszyn używanych w Grenlandyi, a przeciwnie, bardzo przypomina podobne wyroby Eskimosów z okolic sąsiadujących z cieśniną Berynga. Co więcej, większość drzew, przyływających do brzegów Grenlandyi, pochodzi niewątpliwie z Azji północnej. Z pośród 25 okazów, zebranych przez ekspedycyę północną niemiecką Koldwey'a, 17 zostało określonych jako modrzewie syberyjskie. Przy sposobności zaznaczyć wypada, że podług Griesbach'a flora Grenlandyi zawiera niektóre gatunki właściwe tylko Syberyi. Widocznem jest

przeto, że rośliny owe mogły być przeniesione tak daleko od ich pierwotnej ojczyzny tylko przez prąd morski, łączący oba kraje.

To jeszcze nie stanowi wszystkiego. Rozbiór błota, zebranego w 1888 r. na lodowych ławach w Grenlandyi, naprowadził na wiele ważnych wskazówek. Błota owe zawierają nie mniej jak 20 rozmaitych gatunków mineralnych. Ta różnaitość składu dała powód doktorowi Förnebohm ze Sztokholmu do przypuszczenia, że pochodzi ono z kraju bardzo rozległego, prawdopodobnie z Syberyi. Nakoniec, w osadach tych dr. Cleve odkrył nadzwyczaj ciekawe gatunki dyatomeów, które zdają się mieć związek z gatunkami, zebranymi przez wyprawę Vega na przyładku Wankarema, w pobliżu cieśniny Berynga. Wszystkie te spostrzeżenia przemawiają za tem, że istnieje wielki prąd morski, płynący od oceanu Północnego, z okolic Syberyi, ku wschodniemu brzegowi Grenlandyi i przechodzący w pobliżu bieguna.

Teorya popiera istnienie tego prądu. Na wschód od Szpicbergu południowego i od południowej kończyny ziemi Franciszka-Józefa znajduje się ognisko najmniejszego ciśnienia barometrycznego. Na mocy prawa Buys-Ballot'a wiatry w północnej części tej strefy wieją z zachodu na wschód, prawdopodobnie więc nadają stały kierunek powierzchni wód ku Grenlandyi i oceanowi Północnemu.

Jeżeli większa część dotychczasowych wypraw spełzła na niczem, to należy to przypisać temu, że były kierowane ku tym okolicom morza, w których prądy posuwają się ku południowi.

W miarę, jak okręt posuwał się na północ, lody

zbierały się w coraz większych masach, dopóki zewsząd nie otoczyły okrętu i nie odniosły go napowrót. Przy posuwaniu się saniami po ławicach lodu, podróżni bardzo prędko wyczerpywali się w bezużytecznych wysiłkach. Z ciężkim trudem maszerowali ku północy, podczas gdy wolny prąd wody odnosił ich ławę ku południowi. Z czego wynika, że dla osiągnięcia oceanu Północnego należałoby iść za prądem płynącym ku północy, czyli przebyć na okręcie drogę, którą szczątki Jeanetty dostały się do Grenlandyi.

Dosięgnąć wysp Nowo-Syberyjskich, ztamtąd posuwać się tak daleko, jak tylko okaże się możliwym, torując sobie drogę przez lody, w końcu, gdy wszystkie przejścia będą zamknięte w tym kierunku, dać się porwać ku północo-wschodowi wolnemu prądowi, niosącemu wody z oceanu Północnego od Syberyi ku Grenlandyi, oto był plan podróży, opracowany przezemnie. Czy prąd morski, który porwał ongi „Jeanettę,” przechodził dokładnie przez biegun północny, czy też między tym punktem a ziemią Franciszka-Józefa, pytanie to miało dla mnie podrzędną wartość.

Zamiar mój, jak to powiedziałem wobec towarzystwa geograficznego w Chrystyanii, nie na tem polegał, ażeby dosięgnąć do samego północnego bieguna, lecz tylko, ażeby zwiedzić te olbrzymie przestrzenie lodowe, które zewsząd go otaczają.

Tylko zbadanie pod względem naukowym tych lodowatych pustyń było celem mojej podróży.

Mojem zdaniem, poszukiwanie punktu matematycznego, tworzącego biegun, przedstawia nader mały

interes. Projekt mój, przyznaję to, był dalekim od pogodzenia rozmaitych teorii, jakie stworzyli różni badacze północy. Zanadto widocznie oddalał się on od pomysłów, mających dotychczas prawo bytu. Niebezpieczeństwa takiego przedsięwzięcia byłyby naturalnie wielkie, ale dzięki staraniom, z jakimi było dokonane wyekwipowanie okrętu, tudzież wybór członków wyprawy, i dzięki rozsądnemu kierownictwu podróży, miałem nadzieję osiągnąć pożądany skutek.

Gdy tym sposobem został obmyślony plan podróży, należało zapewnić mu powodzenie. Rząd i parlament norweski chętnie udzielili mi pomocy, ofiarowawszy 392,000 franków. Przewyżkę w wydatkach, które podniosły się do wysokości 622,000 franków, pokrył król norweski i szlachetni współobywatele.

Przedewszystkiem musiałem mieć okręt wyjątkowo trwały, zdolny oprzeć się naciskowi lodów, który niezawodnie będzie strasznym, gdy statek znajdzie się wśród ławicy. Okręt był budowany z ogromną troskliwością. Inżynier norweski, Colin Archer, któremu powierzono to zadanie, zrozumiał jego wagę i poświęcił wypełnieniu go całą swą umiejętnością i przezornością.

Temu współpracownikowi w znacznej części zawdzięczam powodzenie wyprawy.

Większa część poprzednich ekspedycji nie posiadała okrętów, specjalnie budowanych do podróży wśród lodów. Zaniedbanie to jest tem dziwniejsze, że większość tych podróżników poniosła olbrzymie koszty.

Zwykle, gdy wyprawy raz już były postano-



FRIDTJOF NANSEN.

wione, kierownicy ich tak się śpieszyli wypłynąć na pełne morze, że im brakowało czasu do koniecznych przygotowań. W wielu bardzo wypadkach zaczęto przygotowania ledwie na kilka miesięcy przed odpłynięciem.

Nasza wyprawa nie mogła być gotową w tak krótkim czasie. Organizacja jej wymagała 3-ich lat, a na 9 lat przed ostatecznem wykończeniem wszystkiego plan był już ułożony.

Kształt naszego okrętu, po wypróbowaniu rozmaitych modeli, nie odznaczał się pięknnością.

Głównym celem było nadać mu takie proporcje, ażeby w razie wielkiego nacisku lodów został podniesiony w górę, nie zaś zgnieciony. „Fram“ został zbudowany nie dlatego, aby odznaczyć się szybkim biegiem, ale, aby w czasie przepływania przez ocean Północny stanowić przytułek wygodny i trwały. Pragnąłem mieć okręt możliwie niewielki, byłem zdania, że okręt objętości 170 ton netto powinien być wystarczającym. „Fram“ w rzeczywistości okazał się daleko większym (307 ton netto i 402 brutto). Potrzeba mi było okrętu krótkiego, aby łatwiej przeżywać się między lądami i jednocześnie stawiać im możliwie największy opór. Zbyteczna długość pudła przeszkadza zwinności okrętu wśród lodów. Z drugiej strony jest rzeczą ważną, aby boki były możliwie gładkie, bez wydatnych części zewnętrznych; należało też unikać powierzchni płaskich w takich miejscach, które łatwiej mogą być uszkodzone. Ale, ażeby podobny statek, którego ściany winny były być bardzo spadziste, mógł posiadać odpowiednią objętość, nie-

zbędną na pomieszczenie ładunku, potrzeba mu było nadać wielką szerokość.

Wskutek tego „Fram“ otrzymał szerokość równą trzeciej części długości. Pudło, przód, tył i belka, idąca wzdłuż spodu okrętu, otrzymały kształty odpowiednio zaokrąglone, ażeby lód nigdzie nie mógł znaleźć punktu oparcia. Jednem słowem, okręt nasz przedstawiał wszędzie powierzchnie gładkie, aby mógł jak węgorz wyslizgiwać się z pomiędzy lodów, gdy część okrętu, od wielkiego masztu do jego zadu, stanowi istną piętę Archilesa dla statków, podróżujących wśród ławic lodu. Ten ostatni bowiem bardzo łatwo może stać się przyczyną niebezpiecznych uszkodzeń, mianowicie złamać ster. Dla ochrony przed podobnem nieszczęściem został on pomieszczony tak nisko, że go zaledwie nad wodą widać było. Jeżeli wielka bryła lodowa potrąci tę część statku, to uderzenie zatrzyma się na części przystukowanej do tyłu okrętu i w ten sposób nie dosięgnie steru.

I rzeczywiście, jakkolwiek statek nasz podlegał silnym naporom, nie ponieśliśmy pod tym względem żadnego uszkodzenia. Wszystkie usiłowania budującego statek były zwrócone ku temu, aby boki okrętu uczynić możliwie trwałemi. Grubość ich wynosiła od 70 do 80 centymetrów. Ściany takie, o formach zaokrąglonych, powinny były przedstawiać dostateczny opór ciśnieniom lodów.

Aby je zrobić jeszcze trwalszemi, zostały one popodpierane wewnątrz we wszystkich kierunkach, tak, że dno okrętu robiło wrażenie siatki pajęczej z bęłek i filarów. Dla uniknięcia zbyt silnych na-

chyłeń się statku, gdyby został bardzo wysoko podniesiony przez lody, dno zrobiono zupełnie płaskie.

Główne wymiary okrętu były następujące:

Długość belki idącej wzdłuż spodu okrętu	31 metrów.
Długość przy linii dzielącej część zanurzoną od niezanurzonej	39 „
Największa szerokość	11 „
Szerokość przy linii zanurzenia	10 „
Głębokość	5 „
Zanurzenie przy słabem naładowaniu	$3^{83}/_{100}$ m.
Zanurzenie przy silnem naładowaniu	$4^{58}/_{100}$ m.

Uząglenie okrętu z konieczności musiało być prostem i zdolnem do oporu, a zarazem tak umieszczonem, aby możliwie małą powierzchnię wystawiać na działanie wiatrów, gdy okręt będzie płynął siłą pary.

Powtóre, załoga nasza była bardzo nieliczną, okręt więc musiał tak być zbudowanym, aby nim łatwo można było kierować z pomostu.

Dla przyczyn powyższych zaopatrzoney został w trzy maszty; powierzchnia żagli jego wynosiła 600 m. kwadratowych. Maszyna miała siłę 220 koni parowych i poruszała statek z szybkością 6 do 7 mil na godzinę. W przewidywaniu uszkodzeń, mogących powstać w którymkolwiek cylindrze, każdy z nich był pomieszczony tak, że można go było zamknąć i działać nim niezawisłe od pozostałych. Prostem poruszeniem smoczka można ją było zmienić w compound-maszynę o wysokiem lub małym ciśnieniu. Wzięliśmy z sobą dwie śruby i jeden

ster na zmianę; na szczęście, nie było potrzeby posługiwać się niemi.

Kajuty były położone w tyle okrętu. Dokoła salonu znajdowały się cztery izby mieszkalne, każda o jednym łóżku, i dwie z dwoma łózkami. Rozkład taki miał na celu uchronienie pokoju środkowego od zimna zewnętrznego. Sufit, ściany i podłoga były pokryte grubą warstwą materiałów, źle przewodzących ciepło, po za którą znajdowało się linoleum, aby nie dopuścić przenikania ciepłego i wilgotnego powietrza do kajut, gdzieby się zgęszczało i lodowaciało. Ściany okrętowe zaopatrzone były w powłokę pilśniową, w pokład drzewa korkowego, w cienką ściankę jodłową, w drugą powłokę pilśniową, następnie w linoleum i w jedną jeszcze warstwę drzewa. Pod mostem i nad salonem pomieszczone zostało pokrycie podobnego rodzaju, grubości 0,38 m.; podłoga składała się z powierzchni korkowej, pokrytej drzewem i linoleum. Dzięki tym ostrożnościom, gdy zapalono ogień w salonie, nigdy nie było wilgoci, nawet w kajutach.

Dla zapewnienia bezpieczeństwa okrętowi w razie, gdyby wytworzył się otwór wpuszczający wodę, dno okrętu zostało rozdzielone na 3 części, nie komunikujące się z sobą. „Fram“ był oświetlony elektrycznością za pomocą dynamo-maszyny, poruszanej maszyną parową.

Na wypadek zaś zatrzymania się maszyny parowej, siły potrzebnej do wytwarzania elektryczności dostarczał nam młynek powietrzny, pomieszczony na pokładzie.

Statek nasz został zaopatrzony w 8 szalup,

z których dwie były dość duże, aby pomieścić całą załogę i prowizję na kilka miesięcy. W razie, gdyby okręt nasz uległ rozbiciu, miałem zamiar pomieścić się w tych łodziach i w ten sposób dalej podróżować.

Dla uniknięcia skorbutu, z ogromnem staraniem przystąpiłem do robienia zapasów, a czyniąc to, myślałem nietylko o tem, aby dostarczyć nam pożywienia nietylko zdrowego, ale i rozmaitego.

Każdy artykuł spożywczy, zanim został przyjętym, podlegał ścisłej analizie chemicznej. Wszystkie prowizye były zapakowane bardzo starannie, nawet suchary i suche jarzyny pomieściliśmy w puszkach cynkowych. I rzeczywiście, niepożytecznie jest brać z sobą wiele zapasów, jeżeli przytem nie podjęto należytych starań dla zapewnienia im dobrego zakonserwowania. Najmniejsze niedbalstwo w tym względzie może pociągnąć za sobą opłakane skutki.

Wyprawa nasza zaopatrzyła się w liczny bardzo materyał dla obserwacyj naukowych. Po porozumieniu się z wielu uczonymi, którzy zechcieli ofiarować mi swą pomoc w tej pracy, wzięłem przede wszystkim instrumenty praktyczne i dokładnie wykonane. Prócz termometrów, barometrów, psychrometrów i anemometrów, zabrałem z sobą narzędzia meteorologiczne samopiszące, wielki teodolit dla obserwacyj astronomicznych, dwa mniejsze dla użytku w czasie podróży na saniach, wiele sekstantów rozmaitych wymiarów, 4 chronometry okrętowe i chronometry kieszonkowe. Nakoniec instrumenty niezbędne dla mierzenia inklinacyj, deklinacyj i naprężenia magnetycznego. Wykaz ten wskazuje wielkie znaczenie na-

szego uzbrojenia naukowego. Przedsięwzięliśmy wszelkie możliwe starania, aby zapewnić sobie bogate żniwo spostrzeżeń naukowych.

Powodzenie wyprawy zależało od posiadania sfory silnych psów, któreby mogły ciągnąć sanki. Baron Toll, znakomity rosyjski badacz północnej Syberyi, obiecał dostarczyć nam żadaną psiarnię. Przejeżdżając przez Tiumeń w styczniu 1893 polecił niejakiemu Aleksandrowi Trontheimowi kupić 30 psów ostyackich i zaprowadzić je do Kabarowy, wsi Samojedów, położonej na brzegach Jugorharu, przy ujściu tegoż do morza. Nadto baron Toll był tak uprzejmy, że polecił wysłać do nas, do ujścia Ołoncku, kilkadziesiąt psów wschodnio-syberyjskich, które do podróży nadają się daleko lepiej, niżeli rasa zachodnio-syberyjska.

Na wiosnę 1893 roku baron Toll zwiedził wyspy Nowo-Syberyjskie i z myślą o naszej wyprawie, kazał na wszelki wypadek urządzić tam kilka składów żywności.

Załoga „Frama“ składała się z 13 osób:

Otto Neumann (Sverdrup), kapitan „Frama.“

Sygdur Scott-Hansen, pierwszy porucznik marynarki królewskiej, na pokładzie naszego okrętu czynił spostrzeżenia meteorologiczne, astronomiczne i magnetyczne.

Henryk Greve Blessing, doktor medycyny, i botanik Teodor Claudyusz Jacobsen, drugi porucznik „Frama.“

Antoni Amundsen, pierwszy mechanik.

Adolf Juell, kucharz.

Lars Peterson, drugi mechanik, doskonały kowal i robotnik.

Fryderyk Hjalmar Iohanse, porucznik rezerwy, pałał taką chęcią uczestniczenia w wyprawie, że przyjął, w braku innego, miejsce palacza na okręcie.

Piotr Leonard Henriksen, mający za sobą 14 kampanij na oceanie Północnym, Bernard Nordahl, Iwor Otton Irgens Mogstad i Bern Bentzen.

ROZDZIAŁ I.

Odjazd.—Kabarowa.—Morze Karyjskie.— Przylądek Czeluskin.—Wejście w ławicę lodową.

W dniu 24 czerwca 1893 roku Norwegczycy obchodzili „święto lata,” które dla nas było dniem smutku: nastąpiła bowiem chwila wyjazdu. Opuzczam mój dom i samotnie przechodzę przez ogród ku brzegowi, gdzie czeka na mnie łódź „Frama.” Pozostawiam najdroższe mi istoty w świecie, kiedyż je znów ujrzę? Moja maleńka Liv siedzi tam w oknie i klaszcze w ręczęta. Biedne dziecię! Na szczęście, nieznane mu są kaprysy losu.

Łódź dąży jak strzała po kryształowej powierzchni fiordu i wnet przybija do okrętu. Statek podnosi kotwicę, pozdrawia zebraną na wybrzeżach ludność Chrystyanii i zwolna odpływa przez fiord.

Ten dzień odjazdu był najsmutniejszym dniem z całej wyprawy.

Począwszy od Chrystyanii aż do Vardö pływaliśmy wzdłuż brzegów Norwegii. W Lindesnaes trafiliśmy na silne kołysanie się balwanów, które mało co nie przyczyniło znacznych uszkodzeń ciężko naładowanemu okrętowi. „Fram“ posuwał się, jak beczka, wciąż zalewany masą wód, które wszystko łamały na okręcie.

Pod powtarzającymi się uderzeniami, rusztowania, na których wisiały szalupy, omal że nie zostały podruzgotane.

Gdyby wypadek podobny istotnie się zdarzył, nietylko łodzie byłyby porwane, ale nawet część drzewa zapasowego na maszty poszłaby na dno.

Koło Lindesnaes przebyliśmy ciężką bardzo chwilę. Dopiero 12 lipca przybyliśmy do Tromsö, małego Paryża północy. Tam przywitała nas burza śniegowa. Cały kraj jest jeszcze pokryty grubym śnieżnym płaszczem. Przybyliśmy do progu krainy chłodu.

W Vardö wczesnym spokojnym rankiem podnosimy kotwicę, aby zacząć właściwą podróż.

Smutny początek. Przez cztery dni żeglujemy wśród gęstej mgły. Po tylu długich i posępnych dniach dopiero 25 lipca zobaczyliśmy jasne słońce i pogodne morze. Po południu widzimy Nową Ziemię. Natychmiast przygotowaliśmy strzelby i już cieszymy się nadzieją uraczenia się dziczyzną. W czasie tych przygotowań znów spada mgła i popielatym płaszczem pokrywa morze; i oto znów jesteśmy osamotnieni i oddzieleni od świata i ludzi.

Dnia 27 lipca mgła bieleje, w dali widać pierwsze lody, które w następnych dniach stają się coraz gęstsze. Żegluga wśród ław lodowych, przy mglistem powietrzu, nie należy do rzeczy zbyt łatwych, w mgle bowiem możemy być osaczeni przez kry, nawet nie wiedząc, gdzie jesteśmy.

Obecność lodów o tej porze w tej okolicy, zazwyczaj od nich wolnej, była złą wróżbą. Zresztą, wiadomości zebrane przez nas w Tromsö i Vardö, nie dodawały otuchy. Morze Białe zaledwie na kilka dni przed naszym przybyciem oswobodziło się od lodów, które zatrzymały pewien okręt, również jak my, dążący do ujścia Jugor-Szaru. Jakież tedy będzie położenie rzeczy na morzu Karyjskiem; o tem nie wazyliśmy się nawet myśleć.

Dnia 29 lipca posuwamy się ku Jugor-Szarowi. Postępujemy przez kilka godzin, nie mogąc odkryć ziem, okrążających cieśninę. W końcu, po długim oczekiwaniu, ujrzelśmy jakby cień na powierzchni wód, to Wajgacz; druga plama, więcej na południu, to brzeg rosyjski. Jest to ziemia niska i równa, ciągnąca się daleko na północ i na południe. Jesteśmy na progu olbrzymich równin Azyi północnej; straż odszukuje wieś Kabarowę, gdzie powinienby na nas czekać Trontheim z psiarnią. Nareszcie, na południowym wybrzeżu, spotykamy maszt nad namiotem, z rozpiętą czerwoną chorągwią; Kabarowa powinna leżeć za nim.

Istotnie widać kilka szop, okrążonych stożkowatemi namiotami. Jedna ze stojących przy brzegu łodzi podpływa do okrętu. Człowiek średniego wzrostu, wyglądający na Skandynawczyka, wstępuje na

pokład, a z nim grupa Samojedów, ubranych w szerokie odzieże ze skóry renifera. Jest to Trontheim, który przyprowadza nam 34-y psy, znajdujące się w doskonałym stanie zdrowia.

Po spożyciu kolacyi, odprowadzeni przez gromadę Rosyan i Samojedów, przyglądających się nam z najżywszą ciekawością, udajemy się na wybrzeże, aby zwiedzić pomniki Kabarowy: dwie cerkwie, z których jedna bardzo stara, i klasztor.

Sześciu mnichów, którzy go zamieszkiwali, według relacyi krajowców, umarło na skorbut. Prawdopodobnie szkodliwy rozwój choroby spotęgowany został używaniem alkoholu.

Zatrzymaliśmy się w Kabarowie kilka dni dla oczyszczenia kotła i cylindrów. Skorzystałem z tej przerwy, aby rozpoznać stan lodów po drugiej stronie Jugor Szaru.

Płynąc wzdłuż brzegów Wajgaczu, przebywamy następnie wpoprzek cieśninę. W pośrodku niej znajdujemy ławę piasku, pokrytą tylko 30—50 ct. wody, poruszanej bardzo szybkim prądem.

Mielizny są bardzo częste w tem przejściu, szczególnie wzdłuż brzegu południowego, przez co żegluga w tej cieśninie wymaga nadzwyczajnej ostrożności.

Dostawszy się na ląd stały, weszliśmy na pagórki, z kądem odsłonił się rozległy widok.

Jak okiem sięgnąć, leżały tundry.

Nie przedstawiały one bynajmniej obrazu zniszczenia, przeciwnie, rozległa płaszczyna pokryta była ciemną zielonością, usianą bardzo pięknymi kwiatami.

W czasie długotrwałej zimy syberyjskiej pustynie te drzemią pod grubym płaszczem śniegu. Lecz gdy słońce zacznie przyświecać mocniej, znika białe okrycie, odsłaniając przepyszne dywany delikatnych kwiatów.

Wobec żywej zieloności i jasnego nieba prawie zapomina się, że kraj ten należy do okolic północnych. Mieszka tu koczownicza ludność Samojedów, która gdziekolwiek rozbija swe namioty i również szybko zwija je, gdy uprzykrzy sobie pobyt na jednym miejscu. Żadnych trosk, żadnych kłopotów niema w tem spokojnem istnieniu wśród natury.

Z wysokości pagórka, na którym stoimy, widać ławę lodową, rozciągającą się aż do kontynentu. Na szczęście, między nią a brzegiem jest wolne przejście. Będziemy więc mogli w tym kierunku posuwać się swobodnie.

Następnego dnia, razem z Amundsenem, wzięliśmy się do czyszczenia maszyny naftowej w łodzi. Obawiam się, że wiele straciłem w przekonaniu Rosyan i Samojedów, gdy ci, wszedłszy na pokład, ujrzeli mnie, jako prostego robotnika, powalanego olejem i zmęczonego. Wróciwszy bowiem na ląd, zwierzyli się przed Trontheimem, że nie sądzą, ażebym był tym znakomitym człowiekiem, którego spodziewali się ujrzeć. Trontheim, nie wiedząc, o co chodzi, nie umiał nawet obronić mnie w ich opinii.

Następnego dnia urządzamy próbę z psami. Trontheim zaprzęga dziesięć sztuk tych zwierząt do sani. Ledwie to uczynił, rzucają się pędem i gonią jakiegoś psa, który zablakał się w te strony. Z początku jestem odurzony gwałtowną jazdą, lecz po

chwili zeskakuję z sciek, chwytam najbardziej zajądłe psy, wstrzymuję i przyprowadzamy wszystko do porządku. Trontheim siada koło mnie i strzela z bata. W jednej chwili psy znów cwalują przez zieloną łąkę w stronę laguny. Staram się zatrzymać rozbiegane zwierzęta, Trontheim krzyczy: sass, sass, lecz mimo to zatrzymaliśmy się wówczas dopiero, gdy pierwsza para psów wpadła do wody.

Zawracamy w innym kierunku, a psiarnia znów puszcza się tak szybkim pędem, że używam wszelkich sposobów, aby się utrzymać na saniach. Powracam jednakże na pokład bardzo zadowolony. Psy istotnie muszą być silne, jeżeli dwu ludzi i sanki ciągnęły z taką szybkością.

Uprząż psów syberyjskich jest bardzo prosta: składa się ze sznura, tudzież taśmy, pomieszczonej pod brzuchem, przynocowanej do obroży.

Nazajutrz, dnia 19 sierpnia, wypada uroczystość Św. Eliasza; przybywają tłumy Samojedów, aby wziąć udział w obrządkach religijnych i oddać cześć Świętemu za pomocą obfitych libacyj. Skutkiem tego już po południu nie możemy znaleźć robotników do zaopatrzenia okrętu w wodę słodką. Na szczęście, Trontheim sprowadza nam kilku ludzi, którzy, za dość wysokie wynagrodzenie, zgadzają się dopomóc nam w tym względzie.

Od rana kobiety przywdziały najświetniejsze stroje, ozdobione jaskrawymi tkaninami, falbanami z różnokolorowej skóry i starem żelastwem. Wszędzie widać wesole i malownicze grupy. Oto, na przykład, stary Samojed z córką przyszli ofiarować dla cerkwi chudego renifera. I tu nawet przekonania re-

ligijne dzielą ludzi. Samojedzi należą zarówno do starej, jak i do nowej cerkwi, i ceremonia świąteczna była odprawiana w obu tych świątyniach. Na nieszczęście, nie było ani jednego starowierczego kapłana. Samojedzi przeto ofiarowali prawowiernemu popowi dwa ruble z prośbą, aby tenże odprawił nabożeństwo w ich cerkwi. Po krótkim namyśle zgodził się i z wielką powagą udał się do świątyni.

Wnętrze nabite było niechlujnym tłumem; zaduch panował tak nieprzyjemny, że po kilku minutach musiałem ją opuścić. Po południu wybucha nieopisany zgiełk. Samojedzi na saniach, zaprzężonych w renifery, przejeżdżają wzdłuż i wszerz całą równinę. Zupełnie pijani, co chwila spadają i wloką się po ziemi z zaprzęgami. Zewsząd rozlegają się dzikie wycia, piekielna zaiste wrzawa. Szczególniej jeden z młodych krajowców zwrócił naszą uwagę. Wstąpiwszy na sanie, uderzył renifery i jak szalony pomknął naprzód, przewracając namioty i wszystko, co mu stało na drodze. Nagle zachwiał się i spadł daleko od sani. Podczas tej zabawy widzowie, mężczyźni i kobiety, połykają olbrzymie ilości alkoholu i, upiwszy się, padają, jak nieżywi. Nie wiem, czy święty Eliasza ucieszył się podobnym holdem. Zaledwie nad ranem ustała wrzawa, a miejsce jej zajęła przykra cisza.

Żagłowiec norweski miał nam przywieźć do Kabarowy węgiel, dla zastąpienia paliwa, zużytego w czasie podróży z Verdö do Jugor-Szaru. Ponieważ dotychczas jeszcze go nie było, więc postanowiłem nie czekać dłużej. Dnia 3 lipca sprowadziliśmy psy na pokład i pomieściliśmy na przodzie okrętu. Zaraz z po-

czątku ufetowały nas wrzaskliwą serenadą. Teraz wszystko już było przygotowane do odjazdu, zostawiwszy więc listy memu sekretarzowi, wydałem rozkaz podniesienia kotwicy.

Dnia 4 lipca „Fram“ wjeżdżał na morze Karyjskie; teraz miał zdecydować się los wyprawy. Jeżeli bez wypadku przepłyniemy morze i dosięgniemy przyładka „Czeluskin,“ przewyciężymy największe trudności podróży. Spostrzeżenia, jakie zbieramy po drodze, obiecują dobry skutek. Między ławicą lodową, pokrywającą morze, a stałym lądem, widać obszerny kanał, ciągnący się ku wschodowi. Przejście to pozwoli nam dosięgnąć zachodniego brzegu półwyspu Jalmal. Niestety, lody zmuszają nas do zarzucenia kotwicy.

Półwysep jest to olbrzymia równina piaszczysta, usiana drobnymi kępkami nędznych kwiatów i okrągłymi bagniskami. Ta część wybrzeża, podług moich obserwacyj, jest na mapach co najmniej o 36 min. zanadto na wschód posunięta.

Dnia 13 lipca dosięgamy północnej kończyny półwyspu Jalmol i Białej wyspy. Ponieważ na morzu nie widać lodów, postanowiłem oddalić się od brzegów i skierować się na północ ku wyspom „Samotnym,“ dla skrócenia odległości, dzielącej nas od przyładka Czeluskin.

Na nieszczęście, nieoczekiwana ława lodowa zmusza nas zatrzymać się. Wracamy zatem i płyniemy dalej ku wschodowi i południo-wschodowi. Od strony tej napotykamy nieznaną dotychczas wyspę i nadajemy jej miano wyspy Sverdrupa, na cześć kapitana naszego okrętu, który pierwszy ją zauwa-

żył. Dalej widnieje brzeg Syberyi około ujścia Jeniseju. W tem miejscu jest on cokolwiek wyższy, aniżeli na półwyspie Jalmol i pokryty obszernemi płaszczyznami śniegu, rozciągającemi się do samego brzegu.

Dnia 19-go sierpnia ukazują się wyspy Kamienne, zwracające uwagę wyrazistością linii brzegowej. W tych okolicach, zarówno jak i w północnej Skandynawii, od czasów epoki lodowej zmienił się poziom lądów.

Dnia 20 sierpnia czas jest prześliczny. Niebieskie morze i błyszczące słońce nie pozwalają nawet przypuszczać, że znajdujemy się tak daleko na północy. Ku wieczorowi spostrzegamy wyspy Kielmana. Jeszcze więcej na południe widać archipelag nie oznaczony dotychczas na mapach. Wszędzie skały mają powierzchnie zaokrąglone i gładkie, nieomylny znak, że w epoce czwartorzędowej pokryte były lodowcami.

Zatrzymujemy się przed największą z owych wysp, aby mechanik wyczyścił kocieł. Z wysokości bocianiego gniazda stróż daje znać, że spostrzegł stado reniferów, pasących się w pobliżu wybrzeża. Chwytamy strzelby i puszczamy się w trop za zwierzyną.

Przez 24 godziny, bez chwili odpoczynku, przebiegamy wzdłuż i wszerz wyspę. Dwa renifery i dwa niedźwiedzie—oto łup tego polowania.

Wydobycie się „Frama“ z archipelagu było bardzo utrudnionem. Co krok spotykaliśmy wiry, oprócz nich bardzo bystry prąd morski, a nadmiar rzucił się na nas zimny, przeciwny wiatr, wiejący co chwila,

jakby wśród najgwałtowniejszej burzy. Dopiero 24 sierpnia zdołaliśmy wydobyć się z niebezpiecznego położenia. Poczem znów zaczęła się zrudna żegluga pomiędzy ławą lodową a brzegiem. Morze jest tu bardzo płytkie, niedaleko brzegów ciągną się archipelagi, dotychczas nieznanie żeglarzom, wskutek mgieł, właściwych tym okolicom. Wyprawa, któraby miała na celu hydrograficzne zbadanie wybrzeży północno-syberyjskich, mogłaby uczynić wiele ciekawych odkryć.

Cel naszej podróży jest jednak zupełnie inny. Nam chodzi o to, aby w możliwie krótkim czasie wyminąć przylądek Czeluskin, ponieważ zima się zbliża szybkim krokiem.

Dnia 23 sierpnia śnieg spadł bardzo obficie.

Mój dziennik podróży zawiera na każdej stronie tę samą uwagę: — ciągle nowe wyspy i mieliżny. — Po południu spostrzegamy ląd stały; jest to powierzchnia lekko falista, powycinana w mnóstwo zatok. Już kilka razy spostrzegłem wązkie przejścia, wrzynające się głęboko wewnątrz lądu. Na tym brzegu Syberii formacja fiordów wydaje się nadzwyczaj rozwiniętą. W pobliżu wyspy Taïmyr znaleźliśmy się w położeniu bardzo krytycznem, gdyż wśród wysp, ukazujących się ze wszystkich stron, nie możemy rozpoznać, gdzie się znajdujemy. Powziąłem zatem zamiar wypłynąć na pełne morze i przejść około wysp Almkwist, położonych na północy od Taïmyr.

Nagle przez mgły spostrzegamy odkrywającą się przed nami nieznaną ziemię. Skręcamy ku zachodowi, aby ją opłynąć, a potem znów płyniemy ku pół-



Statek „Fram“ w zatoce Bergen

nocy. Płynąc w tym kierunku spostrzegamy rozległy Archipelag Nordenskiölda, który utrudnia nam podróż. Ku wieczorowi dosiegamy wreszcie północnej kończyny tego łańcucha wysp i tam spostrzegamy ławę lodową, zagradzającą nam drogę. Gdybyśmy tam wjechali, uwięzilibyśmy się na całą zimę.

Więc zawracamy i probujemy przejść między wyspami i Taïmyrem.

Dnia 30 sierpnia wpływamy do kanału powyżej wspomnianego; nareszcie może wydostaniemy się z tego labiryntu. Nagle spostrzegamy, że cieśninę zamyka gruba ławica lodu. Za nią prawdopodobnie rozciąga się wolne morze, lecz nam trudno się tam dostać.

Zdaje się, że cieśnina Taïmyr pomiędzy wyspą tegoż imienia a lądem stałym jest wolną. Ale podług zapewnień Nordenskiölda, tamtejsze głębiny są zbyt małe, aby mógł przesunąć się po nich nawet niewielki okręt. Musimy więc wyczekiwać ratunku od burzy z południo-zachodu, która zmieniłaby położenie tych lodów i otworzyłaby nam drogę na północ. Zapuszczamy kotwicę. Mechanicy biorą się do oczyszczania kotłów i maszyn, a my udajemy się na polowanie na fokki, które w ogromnych ilościach swawolą na lodach.

Gdy uporządkowano maszynę, zdecydowałem się próbować drogi przez cieśninę Taïmyr.

Jakkolwiek czas jest piękny i mgieł ani śladu, nie możemy się dokładnie zorientować; pomieszczeniych na mapach wysp wcale nie widzimy, przeciwnie natomiast, wciąż spotykamy nowe, jeszcze nie-

zaznaczone. W końcu znalazłszy jakiś wązki kanał, wpływamy do niego. Po niejakiem czasie przekonywamy się, że to, co uważaliśmy za ląd stały, jest wyspą i że cieśnina ciągnie się jeszcze dalej pomiędzy widniejącemi ziemiami. Zagadka staje się coraz zawilszą.

A może znajdujemy się w cieśninie Taïmyr?

Rozkazałem zarzucić kotwicę. Nazajutrz siadłem do łodzi i popłynąłem cieśniną, dosyć głęboką dla „Frama,” który jednak ku wieczorowi znów trafił na lody.

Jest zimno, ostatniej nocy padał śnieg. Zagłębić się w tę ławicę lodową byłoby to narazić się na uwięzienie.

Dnia 5 września. Straciliśmy naprózno 9 dni. Dzisiaj padał śnieg i wieje północny zimny wiatr. Wieczorem spostrzegamy kry, podegnane silnym powiewem powietrza. Wszystko wskazuje na możliwość zatrzymania nas na zimę w tem miejscu, zanim wolny kanał odkryje się w leżącej przed nami ławicy. Wprawdzie czas spędzony tu nie przeszedłby nam bezużytecznie. Cały ten brzeg Syberyi jest bardzo mało znany, a wewnątrz kraju jest dotychczas nie zbada-
dane. Niemniej nie mogę się przyzwyczaić do myśli tak przedwczesnego przezimowania.

Dnia 6 września. Dzisiaj jest rocznica moich urodzin. Przyznać się muszę do zabobonu: gdym się obudził, przyszło mi na myśl, że jeżeli zajdzie zmiana w położeniu lodów, to powinno to stać się dziś. Wyszedłem na pokład. Wiatr się zmniejszył, a słońce błyszczący na niebie. Przy świetle jego i przyszłość wydaje mi się jaśniejszą.

Kanał, otwierający się na wschodzie, pokryty jest tęgą skorupą lodową. Gdybyśmy nie wypłynęli z cieśniny, okręt byłby uwięziony. Bóg wie na jak długi przeciąg czasu.

Przeciwnie, przejście położone ku północy jest wolne od kry wskutek burzy. Być może, że lody, które nam zagroziły drogę 10 dni temu po tamtej stronie Archipelagu, położonego na północ od Taïmyru, zmieniły także swe położenie. Będziemy przeto próbować przejścia z tej strony. Jestem pewien, że szczęście dziś mi posłuży. Rzeczywiście, następnego dnia o godzinie 6 rano opływamy przylądek Laptex, północną kończynę wyspy Taïmyr.

Lecz tu nie koniec naszym niepowodzeniom. Na drugim krańcu tego niebezpiecznego kanału spostrzegamy znów lody. Próbujemy się przedostać siłą pary, ale z tamtej strony morze ma najwyżej 11—15 mtr. głębokości. Płynimy z ołowianką w rękę. Woda jest błotnista i silny prąd rwie ku północo-wschodowi. Dalej jednak spotykamy zupełnie przezroczystą wodę, a zarazem głębszą. Zauważyliśmy, że granica między wodami przezroczystymi i błotnistymi była nadzwyczaj wyraźna.

Przebywszy ten niebezpieczny pas, płynimy bliżej lądów. Wszędzie widać niskie równiny, zaledwie wznoszące się ponad powierzchnię morza i ukształtowane z warstwy piasku i gliny. Spostrzegam obszerny pas wody, sięgający daleko w głąb kraju. Jest to prawdopodobnie ujście rzeki, która przed wpadnięciem swem do morza rozszerza koryto swe nakształt jeziora, na wzór wielu innych rzek syberyjskich.

Dnia 9 września barometr wskazuje bardzo niz-

kie ciśnienie: 733 milim. Silny wiatr wieje od brzegów, podnosząc tumany piasku. Zdawałoby się, że wobec tego najrozsądniej będzie zarzucić kotwicę. Ale lody pędzone wiatrem znikają. Korzystamy więc z czasu; rozwijamy żagle i płyniemy, pomagając sobie śrubą. Statek bieży z szybkością dotychczas niepraktykowaną. Zdaje się, że chce wynagrodzić czas stracony.

Przyłądki następują za przyładkami, fiordy za fiordami. Przez lunetę widzimy w oddaleniu wyniosłości. Przyładek Czeluskin, ta północna kończyzna starego świata, musi być niedaleko. Brzegi są zawsze bardzo niskie, ale w głębi widać góry o stromych spadkach, pokryte śniegiem.

Zbliżamy się do przyładka Czeluskin, gdy opłyniemy, największe trudności podróży zostaną przezwyciężone. Wdzieram się na szczyt głównego masztu, do gniazda bocianiego, aby obejrzeć horyzont. Słońce zaszło, pozostawiwszy za sobą długą żółtą smugę. Jedna jedyna gwiazda błyszczy ponad przyładkiem, który budzi w nas tyle trwogi. Wśród tej jasnej nocy „Fram“ posuwa się wolno na północ, cicho, jak widmo okrętu.

Dnia 10 września dosięgnęliśmy przyładka Czeluskin; aby uczcić tak ważny dla nas wypadek, wywiesiliśmy, przy okrzykach załogi, flagę norweską. Uniknęliśmy zatem zimowania na morzu Karyjskiem. Droga do ławicy lodowej około wysp Nowosyberyjskich stoi nam otworem. Powinnaby przeprowadzić nas przez nieznaną okolice oceanu Północnego.

Nieco później ogarnia nas nowy popłoch. Po między lądem stałym a małemi wysepkami, położo-

nemi na wschód od przylądka Czeluskin, spostrzegamy znów ławicę lodową. Lecz wkrótce jednakże okrążyliśmy te wyspy i w ciągu całej nocy plynimy ku południowi wzdłuż brzegów. Nazajutrz rano ujrzelśmy ziemię, najeżoną wysokimi górami i poprzerynaną głębokimi dolinami. Poczynając od Vardö nie spotykaliśmy gruntu tak nierównego. Przyzwyyczajone do rozległych niskich równin Syberyi, oczy nasze z przyjemnością zatrzymują się na tej malowniczej panoramie.

Zostawiamy przylądek ku południo-wschodowi i tracimy powoli z oczów brzegi.

W tych miejscach napróżno szukamy wyspy Św. Piotra i Pawła, jakkolwiek na mapach jest ona oznaczona w sąsiedztwie przebytej przez nas drogi.

Dnia 12 września. Henryksen zawiadamia nas, że dojrzał na bryle lodowej, tuż przy naszym brzegu, stado koni morskich. W ciągu kilku minut przygotowaliśmy się do polowania; zabieramy harpuny i fuzye i we trzech: ja, Henryksen i Juell odbijamy od statku. Henryksen z harpunem w ręku stanął na przodzie, ja siadłem za nim, a Juell wiosłuje. Podczas gdy zbliżaliśmy się, jeden z koni morskich, prawdopodobnie trzymający wartę, podniósł głowę i spojrzał na nas; zatrzymaliśmy się przeto chwilkę i ruszyliśmy, gdy odwrócił od nas oczy. Zwierzęta te skupiły się na małej przestrzeni. Gdy dobiliśmy do bryły lodowej, Henryksen rzucił harpun. Na nieszczęście, wymierzył zbyt wysoko; grot prześlizgnął się po głowie jednego ze zwierząt i spadł mu na grzbiet. Z zadziwiającą zręcznością olbrzymie te potwory skaczą do wody i zwracają się przeciw nam. Strzelamy raz

po razie do dwóch największych. Jakkolwiek śmiertelnie zranione, zaciekle rzucają się na nas. Wśród zamieszania posyłam im jeszcze kilka pocisków. Tym razem trafiłem lepiej i po chwili bezwładne ciała ich wypłynęły na powierzchnię wody. Wkrótce potem podплыliśmy do „Frama“ i naładowawszy go zabita zwierzyzną, puściliśmy się dalej w drogę. Przeplłynawszy zatokę Khatanga, wpadamy na prąd przeciwny naszej drodze. Wschodnia część półwyspu Tałmyr jest stosunkowo górzystą i tylko wzdłuż brzegów morza widać niskie równiny. Morze wydaje się zupełnie wolnem. Zamyślam więc przepłynąć koło ujścia Ołoneka.

Wtem spotykamy lody, które zmuszają nas do skręcenia w kanał nadbrzeżny.

Na wschód od zatoki Khatanga morze jest bardzo płytkie. Nocą z 13—14 września ołowianki wskazują 7.2 m. głębokości; 15 września dochodzi ona do 12—13 m. Szum fali wskazuje, że morze jest na wschodzie wolnem od lodów. Ciemna barwa wody, stosunkowo mała ilość soli, obok obfitości osadów, świadczą, że niedaleko jest ujście Leny. Byłoby szaleństwem o tak późnej porze zapuszczać się w górę rzeki Ołonek; jakkolwiek bardzo pragnąłbym powiększyć swą psiarnię, to jednakże nie chcę narażać się na zimowanie w tem miejscu, czyli na stratę roku.— Naprzód więc ku wyspom Nowosyberyjskim!

Dnia 16 września. Droga nasza biegnie ku wschodowi przez morze, wolne od lodów. Więcej ku północy ciemna barwa nieba wskazuje brak ławic lodowych w tamtych stronach. Czas jest zupełnie spokojny, temperatura wody wynosi 1,64. Napotyka-

my prądy przeciwno, które nas odpychają ku zachodowi. Sposzrzegamy kilka stad zimorodków.

Dnia 18 września. Płyniemy ku północy, po zachodniej stronie wyspy Bielkowa. Morze jest wolnem od lodów; pomyślny wiatr i pogoda. Zbliża się chwila stanowcza. Jeżeli teoria, na której oparłem naszą podróż, jest prawdziwą, powinniśmy niezadługo spotkać prąd, który zanieśie nas na północ.

Znajdujemy się pod $75^{\circ} 30'$ szerokości północnej. Nie widać ani śladu ław lodowych. Na powierzchni morza spostrzegam parę plam białych, być może, że są to wyspy Bielkow i Kotelny, które o tej porze powinny być przykryte śniegami. Jakkolwiek chciałbym zwiedzić te wyspy i obejrzeć zapasy żywności, przygotowane dla nas przez barona Toll'a, wyrzekam się tej myśli i płyniemy dalej. Co nam przyniesie jutro: nadzieję, czy rozczarowanie? Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, powinniśmy dosięgnąć wyspy Sannikowa, ziemi jeszcze nieznaney.

Jaka to wielka przyjemność płynąć przez morza, których nie pruć jeszcze dotychczas żaden okręt! Czas jest tak piękny i tak spokojny, że możnaby myśleć, że znajdujemy się o setki mil dalej na południe.

Dnia 19 września. Nie pamiętam piękniejszej podróży, jak obecnie. Pchany wiatrem i śrubą „Fram“ ciągle posuwa się, morze spokojne i wolne od lodów. Ciekawie zwracamy oczy ku północy, ta sama ciemna plama, nieomylny znak braku ławic lodowych, widnieje na horyzoncie. Zwiększam trochę szybkość biegu z obawy, aby nagle nie trafić na jaką ziemię albo górę lodową. Znajdujemy się obecnie pod 75°

szerokości północnej. Zawsze twierdziłem, że będę zadowolony, jeśli osiągniemy 78° . Ale Sverdrup jest daleko więcej wymagającym, mówi o 80° — 84° , a nawet 85° ; jest on mocno przekonany o istnieniu wolnego morza północnego, o którym wiele czytał i naprzekór mym żartom, ciągle obstaje przy swoim zdaniu.

Dnia 20 września. Dzisiaj zostałem w przykry sposób obudzony z mych marzeń. Kiedy siedziałem w kajucie nad mapami i rozmyślałem nad przyszłym urzeczywistnieniem mych projektów, byliśmy wówczas pod 78° szerokości północnej, „Fram“ nagle zadrżał. Wyskoczyłem na pokład i przez mgłę ujrzałem ławicę lodową. Właśnie w tej samej chwili słońce przebiło chmury; poskoczyliśmy przeto do sekstantów, które wskazały, że znajdujemy się pod 77° — $44'$ szerokości północnej. Chcąc posunąć się jeszcze dalej, plynimy wzdłuż ławy ku północo-zachodowi. Przez cały dzień zwieszają się gęste mgły, nie pozwalające nam sprawdzić, czy w tych okolicach niema lądów, których obecność zdają się wskazywać stada czapli, unoszące się nad okrętem.

Dnia 21 września. Choć powietrze dziś jest przezroczystsze aniżeli wczoraj, jednakże nie widzimy żadnego lądu; znajdujemy się na tej samej długości, co południowy brzeg wyspy Sannikowa, ale bardziej na północ. Zdaje się więc, że wyspa ta ma nieznaczące wymiary.

Po południu znów gęsta mgła; zatrzymujemy się, aby ją przeczekać. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, znajdujemy się pod 78° $30'$ szerokości

północnej, zapuszczamy ołowiankę, lecz dna nie znajdujemy.

Dnia 22 września jesteśmy w zatoce, która prawdopodobnie tworzy kraniec wolnego morza. Przed nami obszerna, jak okiem dojrzeć, przestrzeń lodowa, a szary odcień nieba oznacza wielką rozciągłość tej ławicy.

Dawniejsi podróżnicy podbiegunowi byli przekonani, że dla bezpieczeństwa statków należy zimować w pobliżu lądów, ja przeciwnie, pragnąłem uniknąć tego i starałem się pomieścić „Fram“ zdaleka od lądów, wśród pływającej ławicy lodowej. W tym celu przywiązałem okręt do olbrzymiego kłosa drzewa; statek jeszcze pływa swobodnie w sąsiedztwie kilku brył lodu, ale mam przecucie, że miejsce to stanie się dla nas portem zimowym.

Dnia 24 września. „Fram“ jest całkowicie otoczony lodami. Pomiedzy bryłami widać małe krążki lodowe, które niezadługo spoją się w stałą masę. Na północy widać jeszcze małe przestrzenie wolnego morza. Foka i ślady białych niedźwiedzi są jedynymi znakami życia w tej pustce.

Dnia 24 września. Lód grubieje z dnia na dzień. Powietrze śliczne i przezroczyście; ostatniej nocy było —13°.

Zima zbliża się wielkimi krokami.

ROZDZIAŁ II.

Pierwsze zimowanie.

Wszystko zdaje się wróżyć, że ostatecznie zostaniemy uwięzieni w ławicy; prawdopodobnie „Fram“ dopiero wtedy uwolni się od lodów, gdy przepłyniemy na drugą stronę bieguna, w sąsiedztwo oceanu Atlantyckiego. Słońce coraz niżej wschodzi nad horyzontem, a temperatura ciągle spada. Długa, a tak przerażająca noc okolic podbiegunowych zbliża się szybkim krokiem.

Spodziewając się długiego zimowania w tych stronach, chcemy się odpowiednio przygotować: zamienić okręt na możliwie wygodne mieszkanie, przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności, aby go uchronić od zimna, od naporu lodów, jednym słowem od wszelkich sił natury, od których mieliśmy zginać podług słów złych wieszczbiarzy; oto były nasze zajęcia.

Dla uchronienia steru od nacisku lodów, podnosimy go w górę, śrubę przeciwnie zostawiamy na miejscu, ponieważ klatka jej przyczynia się do wzmocnienia tyłu okrętu. Amundsen przystępuje do rozebrania maszyny i, oczyściwszy i napuściwszy oleju w każdą pojedynczą sztukę, przyprowadza wszystko do porządku. Godną jest zaznaczenia staranność, z jaką to robił w ciągu 3-letniej podróży; dla swojej maszyny miał on pieczołowitość ojcowską. Zakład stolarski mieści się na spodzie okrętu, warsztat mechanika w pokoju, gdzie znajduje się maszyna, a pra-

cownia blacharza w kiosku, gdzie wiszą karty geograficzne; kuźnia, najpierw umieszczona na pokładzie, była później przeniesioną na lód. Powroźnik i robotnicy, zajmujący się pomniejszych robotami, obrali siedlisko w korytarzu. Później, gdy potrzebowaliśmy robić długie sznury do sond, warsztat powroźniczy został umieszczony na lodzie. Wszystkie narzędzia, od najgrubszych do najdelikatniejszych, mogły być wyrabiane na okręcie.

Od pierwszych dni naszego uwięzienia wiatrak okrętowy, przeznaczony do poruszania dynamo-maszyny, czyli dostarczania nam światła elektrycznego, został ustawiony na pokładzie na przedniej części okrętu.

Całe dnie byliśmy zajęci robotą. Musieliśmy utrzymywać w dobrym stanie wszystkie części budynku. Trzeba było, na przykład, wynieść ze spodu okrętu zapasy żywności lub przynieść lodu, aby przez stopienie go otrzymać niezbędną ilość słodkiej wody.

Prócz tego i w rozmaitych warsztatach nie brakowało zajęcia. Kowal Lars musiał jednego dnia wyprostować kleszcze w łodzi, pokręcone na morzu Karyjskiem, innego dnia zrobić nóż, haczyk do wędki, albo sidła na niedźwiedzie. Mechanik Amundsen miał kilka narzędzi do poprawy. Mogstad, zegarmistrz, w wolnych chwilach wstawiał sprężyny do zegarków, iub czyścił thermografy. Każdy, prócz tego, był swym własnym szewcem i przygotowywał sobie obuwie z grubego płótna, podług wzoru, dostarczonego przez Sverdrupa. Prócz tego wiatrak dostarczał nam zajęcia. Musieliśmy czuwać nad jego obrotami, ustawiać go pod wiatr i według jego siły regulować po-

wierzchnię skrzydeł. Z powodu mrozu była to robota nieprzyjemna tak dalece, że niekiedy wracaliśmy z odmrożonemi palcami lub nosem. Wreszcie od czasu do czasu musieliśmy puszczać w ruch pompy. Szczęściem, wskutek spadku temperatury, czynność ta stawała się coraz mniej potrzebną, a od grudnia 1893 r. do lipca 1895 r. była zupełnie zbyteczną. Przez cały ten przeciąg czasu woda raz się tylko zebrała na okręcie i to w bardzo nieznacznej ilości.

Do wszystkich tych robót przybywały jeszcze zajęcia naukowe. Najwięcej zabierały nam czasu spostrzeżenia meteorologiczne, które w ciągu podróży dokonywaliśmy dniem i nocą co 4 godziny, a przez czas jakiś co 2 godziny. Przypadły one w udziale Scott-Hansenowi, któremu do marca 1895 r. pomagał Johansen, a później Nordahl. Nocą spostrzeżenia były robione przez tego, komu przypadł udział w czuwaniu. Co 2 dni, gdy czas sprzyjał po temu, Scott-Hansen z pomocnikiem swym wyznaczali geograficzne położenie okrętu. Podczas gdy towarzysz nasz robił wyrachowania, cała załoga cisnęła się do drzwi jego kajuty, niecierpliwie oczekując rezultatu obserwacji: czy prąd uniósł nas ku północy, czy ku południowi i o ile, oto było dla nas najgłówniejsze pytanie. Od odpowiedzi na nie zależało w znacznej części usposobienie nasze.

Scott-Hansen prócz tego zapisywał zboczenie i nachylenie igły magnesowej. Obserwacje te początkowo były dokonywane w namiocie, później w chatce ze śniegu, zbudowanej na lodzie. Doktor miał najmniej zajęcia. Napróżno oczekując na chorych, zajął się w końcu psami. Raz na miesiąc asystował

przy ważeniu każdego z nich i określał ilość czerwonych ciałek, znajdujących się we krwi każdego z tych zwierząt. Obserwacje, dotyczące temperatury morza, procentowej zawartości soli w rozmaitych jego głębiach, gatunkowania roślin morskich, badania, w jaki sposób tworzy się lód, oznaczanie temperatury rozmaitych jego warstw, jak również prądów morskich należały do mnie; prócz tego robiłem spostrzeżenia nad zorzą północną, czem po moim wyjeździe zajął się dr. Blessing. Po za tem wszystkiem, w czasie wyprawy dokonywaliśmy sondowań dna morskiego. Dnie, niczem nieurozmaicone, następowały podobne do siebie, jak dwie krople wody; przeczytawszy opis jednego z nich, czytelnik dokładnie pozna tryb, jakim płynęło nam życie na „Framie.“

Wstawaliśmy o 8-ej zrana i jedliśmy śniadanie, złożone z suchego chleba, sera, corneed-boeufu lub konserwy z baraniny, z szynki ozora z Czykago, lub słoniny, kawioru z dorsza, anchois, sucharów morskich, angielskich lub sucharów z mąki owsianej, w końcu z marmolady pomarańczowej lub kompotu. Trzy razy na tydzień mieliśmy chleb świeży. Za napój służyły nam herbata, kawa lub czekolada. Po śniadaniu karmiliśmy psy: pół suchego dorsza lub kilka sucharów dla każdego; poczem spuszczałyśmy je z uwięzi i nasza kolonia rozchodziła się do swoich zajęć. Każdy z nas kolejno musiał przez tydzień pomagać kucharzowi. O pierwszej schodziliśmy się na obiad, który zwykle składał się z trzech potraw: zupy, mięsa i deseru; bardzo często zupeł albo deser zastępowaliśmy rybą. Do mięsa mieliśmy zawsze kartofle, jarzyny albo makaron.

Po obiedzie miłośnicy tytoniu schodzili się w kuchni, ponieważ fajki, papierosy i cygara, z wyjątkiem świąt, były zabronione w pokojach mieszkalnych. po krótkim wypoczynku znów pracowaliśmy do kolacyi, t. j. do 6-ej wieczorem. Kolacya składała się z tych samych dań, co śniadanie. Wieczorem znów bawiliśmy się tytoniem w kuchni, lub też czytaniem i kartami w korytarzu, a tymczasem Johansen wygrywał na harmonii „Pieśń o Zuzannie,“ albo „Pochód Napoleona łodzią przez Alpy.“ O północy kładliśmy się spać, z wyjątkiem tego, na kogo przypadała kolej czuwania. Zmienialiśmy się co godzinę, a czas ten spędzaliśmy najczęściej każdy na pisaniu swego dziennika. Co cztery godziny, a przez pewien czas co dwie, wartownik notował spostrzeżenia meteorologiczne.

Dzięki regularnemu życiu, czas upływał nam szybko i przyjemnie. Moje notatki, robione z dnia na dzień, przedstawiają całą jednostajność naszego życia. Nie podają one żadnego nadzwyczajnego wypadku, lecz są ściśle prawdziwemi.

26-go września. Temperatura spada wieczorem do 14,5°. Nie możemy zauważyć żadnego zboczenia ku północy. Stoimy ciągle w miejscu pod 78° 50'. Niema chyba nic piękniejszego w naturze, jak noce podbiegunowe. Jest to kraina snów, malowana najdelikatniejszymi barwami, jakie można sobie wyobrazić. Najrozmaitsze odcienia zlewają się z sobą w zdumiewającą harmonię. Czyliż każde piękno życia nie jest tak samo czystem, delikatnem i wzniostem, jak ta noc! Niebo jest olbrzymią kopułą, w zenicie granatowej barwy, która powoli przechodzi w zieloną,

liliową i fioletową. Na olbrzymim polu lodowym widać niebieskie cienie, ostre kanty ławy polyskują różowym światłem, ostatnim odbłyskiem zamierającego dnia. W górze świecą gwiazdy, wieczny symbol pokoju. Na południu pojawia się wielkie różowe światło, otoczone złoto-żółtymi obłokami. Jednocześnie zorza północna rozpościera swe szaty, mieniające się srebrnym, złotym i czerwonym kolorem. Kształty jej zmieniają się co chwila: oto światło rozwija się niby olbrzymia płachta, kurczy się, dzieli na srebrne koła, z których tryskają ogniste promienie, i nagle gaśnie jak tajemnicze zjawisko. Za chwilę potem wielkie języki płomienne iskrzą się na zenicie, a na horyzoncie zjawia się blyszcząca pręga, która zlewa się ze światłem księżycowem. Całymi godzinami zachwycające to zjawisko świetlne rzuca swoje cudowne blaski na zamarzlą pustynię, pozostawiając po sobie nieokreślone wrażenie, wobec którego zapominamy o rzeczywistości. Jest to symfonia światła na tle głębokiej ciszy.

28 września. Śnieg i deszcz. Dzisiaj spuszcza-
my psy. Od czasu wyjazdu naszego z Kabarowej życie dla zwierząt tych było powolną męką: przywiązane na pomoście, były wystawione na deszcze i uderzenia fal morskich; prócz tego podlegały chorobie morskiej i pomimo to musiały pozostawać na uwięzi. W taki to sposób traktowaliśmy zwierzęta, które miały być ostatnią dla nas ucieczką. Za to, gdy nadejdzie chwila walki na śmierć i życie, będzie im to wynagrodzone. A tymczasem niech będą wolne. Nie potrafię opisać szalonej radości psów, gdy zostały spuszczone ze sfory. Ławica lodowa, przed-

tem tak smutna i posępna, zawrzała życiem i wesołością.

29 września. Dzisiaj przypada rocznica urodzin Blessinga; urządzamy ucztę na cześć jego, pierwszą z tych, jakie później niejednokrotnie wyprawialiśmy na pokładzie „Frama.“ Inna jeszcze przyczyna napelniła nas radością: oto najściślejsze obserwacyu wykazały, że znajdujemy się pod $79,5^{\circ}$ szerokości północnej, a więc posunęliśmy się o jeden stopień ku biegunowi. Uczta składała się z obiadu o pięciu daniach i koncertu o 20-tu numerach.

30 września. Zdaje mi się, że położenie „Frama“ nie odpowiada warunkom bezpieczeństwa. Duża kra, leżąca po lewej stronie okrętu, ma ostry bok, skierowany ku środkowi statku, w razie więc nacisku lodów, mogłaby nas niebezpiecznie ugodzić. To też dzisiaj poczynamy odwiązywać okręt i szukać bezpieczniejszego miejsca na przezimowanie. Jest to robota, której niepodobna zaliczyć do przyjemnych, ani nawet do łatwych. Musimy przedewszystkiem rozbić grubą warstwę lodu, a następnie zwolna, drągami, posuwać okręt do przejścia, które utorowaliśmy dla niego.

Wieczorem temperatura wskazuje 12,6. Przepyszny zachód słońca!

2 października. Gdy przeprowadzaliśmy „Frama“ do nowej przystani, część lodów, otaczających go, odsunęła się i wcisnęła pod powierzchnię wody ku spodowi okrętu; teraz więc nasz statek spoczywa na doskonałym lodowym łożu.

Po obiedzie Sverdrup, Juelle i ja byliśmy zajęci wiązaniem sznurów na sondę, gdy nagle Henryksen



Polowanie na morsy.

oznajmia o zbliżaniu się białego niedźwiedzia. W jednej chwili porywam fuzyę.

— Gdzie jest niedźwiedź? — pytam się.

— Tam po prawej stronie okrętu, w pobliżu namiotu, zwraca się ku obserwatorium.

W istocie ujrzałem olbrzymiego niedźwiedzia, który gonił Hansena, Blessinga i Johansena, pędem uciekających do okrętu. Ujrzawszy mnie, zatrzymał się zdziwiony. Zaledwie odwrócił głowę, posłałem mu kulę w kark. Celny strzał powalił zwierzę. Spuściłem kiku psów, ażeby je przyzwyczaić do tego rodzaju polowań. Widać jednak, że im się to nie podobalo, gdyż postawa ich wyrażała wielką bojaźń. Taka np. Kwik, dzielna suka, z którą zamierzałem zawsze polować na niedźwiedzie, zbliża się powoli do trupa z podniesioną sierścią i ogonem wciśniętym między nogi; widok ten bardzo mnie zniechęcił. Po tym wypadku, który mógłby kosztować życie 3-ch ludzi, każdy z nas wychodził nie inaczej, jak uzbrojony od stóp do głów.

4 października. Cały dzień zapuszczamy sondy. Największa głębokość morza wynosi 1,440 m. Dno utworzone jest z warstwy ilu szarego, grubości od 10 — 11 ct., spoczywającej na glinie brunatnej; temperatura wody bliżej powierzchni wynosi + 0,18. Na głębokości zaś 135 m. nie przechodzi 0,4. To szczególne odkrycie obala hipotezę o istnieniu wodozbioru północnego, mało głębokiego, a wypełnionego zimnemi wodami. Po południu otwiera się nagle rozpadlina w lodzie za „Framem“ i w kilka minut rozszerza się do znacznych rozmiarów. Pod wieczór

bryły lodu cisną się jedne na drugie i powstaje wiele nowych szczelin.

Z każdym dniem powiększa się zimno i już dochodzi do — 15—18°. Od czasu do czasu robimy polowania na białe niedźwiedzie, które kończą się, przynajmniej dla nas, pomyślnym skutkiem. Ponieważ psy uwiązane łatwo mogłyby zmarznąć, więc spuszczaamy je z łańcuchów. Doświadczenie wskaże nam, czy będziemy mogli używać tego sposobu w przyszłości. Chwila psiej swobody upamiętniła się kilkomna zawziętymi walkami, na szczęście zakończonemi bez przelewu krwi.

7 października. Od kilku dni wieje silny wiatr północny, pod wpływem którego nasza lodowata ławica razem z okrętem zbacza na południe.

Zawsze taki sam zmrok, piękny i smutny!... przypomina mi on melancholijne wieczory norweskie i budzi we mnie słodkie wspomnienia, zwiększające tęsknotę.

8 października. Urządzamy wycieczkę na „ski“ w stronę położoną na wschód od okrętu. Z wysokości hummock'u ¹⁾ widać równinę śniegową, pustą i nieskończoną. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, nic, prócz śniegów. Obserwacye nad szerokością geograficzną robią nam niemałą niespodziankę, przekonywamy się bowiem, że nasz okręt znalazł się pod 78° 35' szerokości północnej, czyli że w ciągu dziewięciu dni cofnęliśmy się na południe o pół stopnia. Cofnięcie to łatwo można wyjaśnić. Ponieważ morze na południu jest jeszcze wolne od lodów, więc ławica

¹⁾ Wyniosłość, utworzona z lodu na ławicach.

nasza, pchana nieustannym wiatrem północnym i północno-wschodnim, posunęła się w tamtą stronę. Gdy powierzchnia morza u brzegów Syberyi zamarźnie, skierujemy się niechybnie ku północy.

9 października. Dzisiaj nastąpił pierwszy nacisk lodów na okręt. W czasie, gdyśmy rozmawiali w korytarzu, posłyszeliśmy okropny huk, a jednocześnie „Fram“ zadrżał całym swym ciałem. Wybiegamy na pokład. Na szczęście „Fram“, jak to przewidziałem, opiera się doskonale. Wprawdzie lód gwałtownie atakuje nasz statek, lecz znajdując na nim same okrągłe powierzchnie, wsuwa się pod okręt, nie naruszając go, i tylko zwolna podnosi go do góry. Wielokrotny atak ten podźwignął wprawdzie „Frama“, lecz nie na długo. Lód bowiem, nie mogąc utrzymać tak wielkiego ciężaru, załamał się. Ku wieczorowi ławica skruszyła się i wielka przestrzeń wody rozlała się naokoło statku. Okazuje się potrzeba silniejszego umocowania „Frama“, ażeby zanadto nie zbaczał. Przez całą noc słychać było zdaleka głuche odgłosy, pochodzące od ścierania się lodów.

11 października. Job, najlepszy z psów naszych, został rozszarpany w kawałki przez swych towarzyszków. Nieszczęśliwy leży martwy, strzeżony przez starego Suggena, który nie pozwala innym profanować trupa. Co za nieczgodne zwierzęta! ani jeden dzień nie przeminie bez walki. W obawie nowych zatargów, Barabasz pozostaje na pokładzie, nie mając śmiałości zapędzać się na lód do swych towarzyszków... Dzisiaj nowy nacisk lodów. Zaczyna się lekkim trzaskiem i skrzypieniem o bok okrętu. Łoskot ten wzmacna się stopniowo, przechodząc przez wszystkie

gamy: jest on albo skargą o tonie bardzo wysokim, albo mruczeniem, po którym następuje grzmot. Huk zwiększa się. Zdawaćby się mogło, że jest to ryk, spowodowany nagłą grą wszystkich rur organów. Okręt drży i podskakuje. Ponieważ pewni jesteśmy odporności „Frama“, więc doznajemy tylko przyjemnego uczucia, patrząc na to potężne widowisko. Każdy inny statek byłby oddawna zmiążdżony, że o ściany naszego oślizgują się bryły lodowe, zagłębiają się i nagromadzają pod jego spodem, tworząc jakby kryształowe łoże.

Gdy ustały grzmoty, wywołane ruchem lodów, „Fram“ przyjął napowrót swoją dawną pozycję. Nacisk lodów prawie ustał, biała równina staje się napowrót martwą i cichą i tylko gdzieniegdzie sterczące rumowiska świadczą o odbytej walce. Ku wieczorowi ławica pęka, a „Fram“ znów pływa po wielkiej przestrzeni wolnego morza.

12 października. Wczoraj byliśmy zewsząd otoczeni lodami, dzisiaj lodowata wyspa, do której jest przywiązany nasz okręt, pływa po długim kanale, a ku północy widać obszerną powierzchnię wolnego morza, które ciągnie się gdzieś bez końca. Wskutek tej zmiany, kto wie, czy nie będziemy mogli nanowo puścić się ku biegunowi.

Niebo jest czyste, oświetlone jasnym słońcem. Jest to zachwycający, pełen poezji dzień zimowy; sonda wskazuje głębokości 90 m.

Dzisiaj przy pomocy jedwabnej sieci Murray'a urządzamy połów. Zbiór przechodzi wszelkie oczekiwania: wyciągamy ostracody, copepody, amfipody i jedną spedellę. Kierowanie narzędziem tem jest

dosyć trudne: natychmiast po zanurzeniu go w otwór ławicy bryły lodowe zbliżają się nagle i trzeba nie-małej zręczności, aby wyciągnąć sieć w chwili wła-ściwej. Wieczorem cała powierzchnia wolnego mo-rza połyskuje fosforycznem światłem. Fauna zatem tych stron podbiegunowych nie jest tak biedną, jakby to się zdawać mogło.

I znów jesteśmy wystawieni na ten straszny nacisk lodu, od którego powinniśmy zginać, według zapewnień złych wróżbistów. Naokoło okrętu lód na-gromadza się, skupia w ściany, wznoszące się aż po nad parapet okrętu, i ciśnie zewsząd, jak gdyby go chciał pochłonać. My jednakże, ufając trwałości okrętu, pozostajemy obojętni; nikt nawet nie myśli o nie-bezpieczeństwie, i ani ciągle uderzenia, ani nawet wciąż się powtarzający gwałtowny łoskot lodów nie płoszy śmiechów, ani rozmowy, którą prowadzimy w korytarzu.

Ostatniej nocy lody gwałtownie natarły na wy-spę, na której mieściły się nasze psy. Lód, ciągle podnoszony w górę, stoczył się w końcu na jej po-wierzchnię i zagrzebał kotwicę, tudzież część stalowej liny. Deski i sanie, pozostawione na ławicy, uległy zasypaniu i nawet psy zostałyby zagrzebane, gdyby nie uratowała ich w porę nocna warta. W końcu lodowata wyspa, ciągle uderzana i gnieciona, rozpa-dła się na dwie części. W czasie cudnego ranka, przy słońcu błyszczącym na niebie, ślady zniszczenia pozostawiają wrażenia rozdzierającego serce smutku.

Tego rana, jak wczoraj, wskutek nacisku lo-dów wytworzyła się wielka przestrzeń wody naokoło okrętu. Ciemny odcień horyzontu każe się domyślać

istnienia wolnego morza na północy. Wskutek tego wydaję rozkaz zrewidowania maszyny i przygotowania jej do podróży. Powinniśmy się skierować ku północy. Może być, że ciemna ta plama oznacza granicę między ławicą, w której był uwięziony „Fram“, i ławicą, położoną więcej na południe, a może widać tam ziemię?

Po południu zmieniamy przystań. Opuszczamy naszą dawną wyspę lodową, obecnie rozbitą, i zarzuca my kotwicę trochę dalej po za nią. Ponieważ wieczorem miał miejsce silny napór na szczątki tej bryły, cieszymy się, że pozbyliśmy się jej sąsiedztwa.

Ciśnienia, wywierające swój wpływ na wielką przestrzeń ławic lodowych, są w związku z przypływami morza. Dwa razy dziennie podlegają one nagłym rozszerzaniom się i następującym po nich ciśnieniom. Te ostatnie mają miejsce między 4 i 6 godziną zrana, oraz 4 i 6 wieczorem. W przerwach między następującymi po sobie ciśnieniami ławica rozszerzała się i tworzyły się sadzawki wody, wolnej od lodów. Gwałtowny nacisk, który miał miejsce 9 października w południe, nastąpił prawdopodobnie skutkiem przypływu, wywołanego nowiem księżyca. Od paru dni wzburzenia lodów poczynają się o godzinie coraz późniejszej, a dzisiaj zdarzyły się o godzinie 8-ej zrana.

Parcie lodów występuje głównie podczas nowiu i pełni i w czasie pierwszego silniej znacznie, aniżeli w czasie drugiej. W epokach pośrednich są słabsze albo żadne. Zjawisko to ze szczególną mocą wystąpiło podczas pierwszego naszego zimowania w sąsiedztwie wolnej powierzchni morza, położonej na

północ od syberyjskich brzegów, i w ostatnim roku, gdyśmy się zbliżali do oceanu Atlantyckiego. Gdyśmy przepływali ocean Północny, zdarzały się daleko rzadziej i były mniej regularne. W okolicach tych rodzą się one z działania wiatrów na lawice lodowe. Gdy olbrzymie te masy, unoszone prądem, spotkają inne, pchane w przeciwnym kierunku, następuje, jak łatwo się domyślić, straszne starcie.

Ta walka lodów przedstawia niezwykle widok; znajdujemy się w obliczu sił tytanicznych. Z początku wydaje się, że straszliwe uderzenia zdruzgoczą ziemię. Są one podobne do odległego trzęsienia ziemi. Z biegiem czasu, stopniowo, ryk zbliża się i wybucha w rozmaitych punktach. Zdaje się, że cała natura zgrzyta i ryczy; lód drży pod naszymi stopami. W tajemniczym półcieniu widać bryły, które podnoszą się, formują, jakby grzebienie, i zbliżają się do nas groźnie. Wielkie kawały lodu, grubości 4—5 metrów, wyskakują w górę i spadają rozbite w proch; grzmoty nie ustają i lodowa wyspa, przy której szukamy ucieczki, ściśnięta i uderzana jakby ciosami taranu, niknie, a woda napływa ze wszystkich stron. Nagle wszystko się uspakaja powoli, hałas się zmniejsza i zamiera w ponurem milczeniu śmierci. Miesiąc następuje za miesiącem, rok za rokiem, a walka ta nigdy się nie kończy.

Gdyby można ogarnąć jednym rzutem oka całą śnieżną pustynię, zobaczylibyśmy ją pokrytą całą wyniosłościami, które w pierwszej chwili wydają się rozrzuconemi bez porządku. Po bliższem jednakże rozpatrzeniu widać, że układają się one w kierunkach prostopadłych do linii ciśnienia, która im dała począ-

tek. Podróżnicy mówią, że hummock'i mogą osiągnąć 18 m. wysokości. Cyfra ta jednak jest przesadzona. Podczas naszej podróży przez ławę, leżącą na dalekiej północy, największy hummock, jaki widziałem, nie był wyższym nad 10 m.

Na nieszczęście, nie miałem możliwości zmierzyć jego wysokości. Najbardziej wzniesione hummock'i, które mierzyłem, osiągały 6—7,5 m. Takie były bardzo liczne. Nagromadzenia lodów, wyższe nad 8,5 m., są bardzo rzadkie.

Na północy widać ławicę, przeciętą niby kanałem, a za nią wolne morze. Przeprowadziliśmy do porządku maszynę i jutro wybieramy się w drogę. Wieczorem znów następuje gwałtowny nacisk lodów. Bryły, nagromadzone u lewego boku okrętu, grożą upadkiem na pomost. Lód jest wprawdzie cienki i nie może zrobić nam wielkiej szkody, niemniej siła jego jest olbrzymią.

15 października. Teraz, gdyśmy się przygotowali do odjazdu, ławica zamknęła się ze wszystkich stron. Rano, gdy zauważyłem rozszerzanie się lodów, wydałem rozkaz zapalenia ognisk. Tymczasem udaję się na poszukiwanie niedźwiedzia, ranionego ostatniej nocy, który nie powinien był daleko odsunąć się od okrętu. Za powrotem widzę, że lód zupełnie się nie ruszył.

16 i 17 października. Ławica jest silnie sponżoną. W nocy daje się uczuwać gwałtowny nacisk.

18 października. Dzisiaj zrana Johansen zabił niedźwiedzia, kręcącego się około okrętu. Henryksen po południu zabił drugiego. Czas jest prześliczny. Z wysokości bocianiego gniazda nie widać lądów.

Wodny przesmyk, który poprzednich dni znajdował się na północy, jest obecnie zamknięty. Za to w nocy uformował się drugi, tuż przy samym okręcie.

21 października. Głębokość morza wynosi w tem miejscu 135 m.

Znajdujemy się ponad zagłębieniem w dnie morskiem. Sznur sondy wskazuje, że zbaczamy wciąż ku południo-zachodowi. Nie mogę pojąć przyczyny tego cofania się, tembardziej, że ostatnich dni wiatr był bardzo mały. Prąd zaś w tych okolicach powinienby pchnąć nas ku północy. Bo jakimże innym sposobem wytłómaczyć istnienie obszernej powierzchni morza, wolnego od lodów, którą dopiero co przebyliśmy. Rozległe to jezioro mogło powstać tylko wskutek ruchu wody ku północy. Jedynym zarzutem przeciwko mojej hipotezie jest istnienie prądu, skierowanego ku zachodowi, który zauważyliśmy podczas drogi z Kabarowej do Ołoneku. Ale nie, nigdy nie pogodzę się z myślą, że będziemy przeniesieni na południe do wysp Nowo-Syberyjskich, później na zachód, ku syberyjskim brzegom, a jeszcze później na północ, w kierunku przylądka Czelskina.

23 października. Głębokość wynosi 117 metrów, czyli 12 m. mniej niż wczoraj. Sznurek sondy wskazuje zboczenie ku północo-wschodowi. Dwunastego października znajdowaliśmy się znów pod 78°5' szer. pół. Podług obserwacji z d. 19 października, posunęliśmy się o 10 mil więcej na północ. Na koniec teraz, gdy wiatr ustał, prąd zaczyna nas unosić w pożądanym kierunku.

24 października. Między 4 a 6 godziną zrana gwałtowny nacisk lodów podniósł cokolwiek „Frama.“ Napór zdaje się znów ponawiać. W istocie jutro przypada pełnia, a zatem zwiększony przyływ i odpływ morza. Rano ławica otwiera się w pobliżu okrętu, a później zamyka. Około godziny 11-ej następuje dość gwałtowny atak lodów, potem przerwa, po południu nowy nacisk, który szczególną siłą odznaczał się między 4 a 4 $\frac{1}{2}$.

25 października. Ostatniej nocy nasza ławica uległa silnym wstrząśnieniom. Skoczyłem równemi nogami z łóżka i poczułem, że „Fram“ jest podnoszony, potrącany i poruszany w rozmaitych kierunkach. Jednocześnie usłyszałem, że lód łamie się o dno okrętu. Posłuchawszy chwilę, zasnąłem z myślą, że jednak lepiej jest znajdować się na pokładzie „Frama“, aniżeli jakiegokolwiek innego okrętu, którego pokład musielibyśmy opuścić przy najmniejszym nacisku lodów i uciekać z manatkami na plecach, jak załoga „Tegethofu.“ Wiatr dmie dzisiaj z północ-zachodu. Wiatrak, przeznaczony na motor do elektrycznego oświetlenia, jest po raz pierwszy w ruchu. Próba wypadła bardzo szczęśliwie. Jakkolwiek powiew jest słaby, oświetlenie jednak jest wcale dobre. Światło wywiera dziwny wpływ na usposobienie człowieka. Przy obiedzie weselość jest powszechną; światło działa na umysły nasze, jak dobre wino.

26 października. Dzisiaj z wielką wystawnością obchodzimy rocznicę spuszczenia okrętu na wody. Uroczystość rozpoczyna się strzelaniem do celu. Zwycięzca otrzyma wielki krzyż z drzewa, orderu

„Frama.“ Obiad składa się z czterech dań, a po obiedzie wolno jest palić w korytarzu. Myśli moje mimowolnie przenoszą się do chwili spuszczenia „Frama.“ Widzę żonę, jak stawia butelkę wina sampańskiego na przedniej belce okrętu i wykrzykuje: Niechaj „Fram“ będzie twem imieniem! W tej samej chwili „Fram“, wypływając na morze, wchodził w posiadanie groźnego żywiołu. Ścisnąłem serdecznie rękę żony, oczy zasły mi łzami, a żadne z nas nie było zdolne słowa wymówić. Teraz dzieli nas ocean i lody. Na jak długi przeciąg czasu? Z pewnością na bardzo długo!

Dzisiaj słońce przesyła nam ostatnie pożegnanie: zaczyna się nieskończona noc zimowa. Gdzież będziemy, gdy znów na niebie zjawi się wspaniałe ognisko życia? Jakby dla pocieszenia nas po jego stracie, księżyc błyszczy niezwykle jasno.

Podług dzisiejszych obserwacji, posunęliśmy się o 3' więcej na północ i nieco dalej na wchód, aniżeli 19-go tegoż miesiąca. Prawdopodobnie jesteśmy wśród wiru, na którym lód obraca się w koło, ale nie posuwa naprzód. O, gdyby zerwał się wiatr z południa i popchnął nas ku północy, zaraz miejsce zniechęcenia zastąpiłaby nadzieja.

27 października. Piękny błyszczący meteor zapalił się na niebie i zagasł w pobliżu gwiazdy E, konstelacyi Łabędzia, która przyświeca nam od czasu, gdyśmy się dostali do tych przestrzeni morza.

Nazajutrz zabijamy białego lisa, którego już kilka razy dostrzegaliśmy w pobliżu statku. Co u licha mogą robić te zwierzęta tak daleko od lądu? Zresztą wypadek ten nie powinien nas tak bardzo

zadziwiać: czyż nie znaleziono śladów lisich na ła-
wicy pomiędzy Jan-Mayen i Szpicbergiem?

5 listopada. Czas wlecze się bez końca. Pracuję, czytam, zagłębiam się w myśli i marzenia; potem grywam na organach i wychodzę na lód na przechadzkę.

Nizko, tuż nad horyzontem, na południo-zachodzie widać jeszcze stale ślady światła, jak gdyby plamę krwi, która stopniowo przechodzi w kolor pomarańczowy, później zielony, blado-niebieski i w końcu w granatowy, usiany gwiazdami.

Na północy drgają światła zorzy, ciągle zmieniające się, ciągle ruchome, bez chwili odpoczynku, zupełnie jak dusza człowieka. Nie dbając wcale o to, tak zresztą zachwycające zjawisko, powracam myślą do moich ukochanych. Lecz dajmy lepiej spokój, wspomnienia te są zanadto bolesne.

Rezultat obserwacyj staje się coraz więcej zniechęcającym: znajdujemy się pod $77^{\circ} 43'$ szer. północ. i $138^{\circ} 8'$ dług. wsch. Dotychczas jeszcze nigdy nie cofnęliśmy się tak daleko. Od 29-go września zostaliśmy o 83 mile odepchnięci na południe. Hypoteza prądu, idącego na północ, której oczywistość zdawała się niezachwianą, upada jak domek z kart, przewrócony lekkim dmuchnięciem. A jeżeli znajdujemy się na złej drodze, czem się to skończy? Utratą nadziei. A choćbyśmy nawet zginęli, nie będzie to miało wpływu na bieg wypadków wieczności.

9 listopada. Dziś badaliśmy próby wody morskiej z rozmaitych głębokości, poczynając od powierzchni, aż do dna, leżącego niżej o 53 metry. Próby brane były co 10 m. Temperatura ich — 1,5 wyka-

zała, że morze we wszystkich swych warstwach posiada jednostajną ciepłotę, równą tej, jaką obserwowaliśmy na szerokości bardziej południowej. Oczywiście mamy tu do czynienia z wodą, która przyplywa z wodozbióru północnego. Zawartość soli jest stosunkowo bardzo małą; przyplyw rzek syberyjskich daje odczuwać wpływ swój aż w tych szerokościach.

11 listopada. „Młody lód“ naokoło okrętu dosięga grubości 0,39 metra. Twardy na powierzchni, staje się ku spodowi porowatym i kruchym. Warstwa ta powstała przed dwoma tygodniami. Pierwszej nocy grubość jej dosięgła 0,078 m., podczas dwunastu ostatnich wzrosła tylko o 0,26 m. Z zestawienia powyższego widać, że wzrost warstwy lodu zwalnia się w miarę wzrostu jej grubości i wreszcie zupełnie ustaje, gdy ta ostatnia dosięgnie pewnych wymiarów.

19 listopada. Znów to samo życie jednostajne. Od tygodnia wieje wiatr z południa. Dzisiaj wyjątkowo zmienia się lekkim powiewem z północ-zachodu. Ławica pozostaje spokojną, hermetycznie zamkniętą dokoła okrętu. Od czasu ostatnich, tak gwałtownych nacisków, „Fram“ ma napewno pod sobą warstwę lodu grubą na 3—7 m. Ku wielkiej naszej radości obserwacje wczorajsze stwierdzają, żeśmy się posunęli o 44 mile na północ. Jednocześnie uczyniliśmy znaczny krok na wschód. Oby tylko prądy ciągle niosły nas w tym samym kierunku!

„Fram“ zyskuje sobie wśród ławicy ciepłe i wygodne schronisko. Nie palimy w piecu nawet wtedy, gdy mróz dosięga 30°. Jedna lampa wystarcza do wytworzenia w korytarzu przyjemnej temperatury. Towarzysze moi zdają się nie odczuwać mrozu. Gdy

termometr wskazuje 30° niżej zera, Bentzen w koszuli udaje się na pokład, aby robić spostrzeżenia nad termometrem. Nigdzie niema ani śladu wilgoci. Wentylacja jest wszędzie doskonałą, dzięki kanałowi powietrznemu, który po całym okręcie rozpościera fale świeżego, ożywczego powietrza.

27 listopada. Temperatura powietrza utrzymuje się bez wielkich zmian między -25° i -30° , a na dnie okrętu podnosi się do -11° .

Kilkakrotnie wydało mi się, że promienie zorzy północnej przyjęły kierunek równoległy do kierunku wiatru. Rano 23-go listopada, gdy zjawisko to pokazało się na południo-wschodzie, oznajmiłem towarzyszom moim, że wiatr, który wiał wtedy z północno-wschodu, zmieni się na południo-wschodni. W kilka godzin później przepowiednia ta ziściła się.

Dzisiaj zrana o 9-ej nastąpił znów silny nacisk. Wieczorem słychać pomrukiwania łamiącego się lodu. Myślę, że „Fram“ nie znajduje się w środkowym punkcie tych wstrząśnięć. Prawdopodobnie ostatni gwałtowny atak doprowadził lód naokoło okrętu do stanu wielkiej gęstości, którą mróz jeszcze powiększył, podczas gdy dalej ławica pozostała mniej zbitą i mogła ulegać naciskowi lodów.

3 grudnia. Zbaczamy na północo-wschód nadzwyczaj powoli. Od 28-go listopada posunęliśmy się zaledwie o 5 mil.

5 grudnia. Dzisiaj mróz dosięga $35,7^{\circ}$. Jest on największym z tych, jakie obserwowaliśmy dotychczas. Znajdujemy się pod $78^{\circ}50'$, o 6 mil dalej na północ, aniżeli 2-go tegoż miesiąca. Szybkość prądu dochodzi do 2-ch mil dziennie. Po południu widać

wspaniałą zorzę. Niebo od wschodu do zachodu oświetlone jest lukiem gorejącym, lecz wkrótce staje się pochmurnem.

8 grudnia. Między 7—8 godziną zrana nastąpił nowy nacisk lodów. Po południu rysowałem w korytarzu, gdy nagle poczułem gwałtowne wstrząśnienie i usłyszałem łoskot, jak gdyby ogromne bryły lodu spadały z masztów na pomost. W jednej chwili załoga okrętu jest na nogach. Wygodnisie tylko, odpoczywający po obiedzie, w pośpiechu szukają ubrań i przybiegają do korytarza. Nawet Kwik, przestraszony siłą uderzenia, opuszcza swe leże zimowe. Cóż więc zdarzyło się? Nie możemy odkryć przyczyny tego łoskotu, chociaż lód porusza się, jak gdyby usiłował odsunąć się od okrętu. Prawdopodobnie hałas był spowodowany nieoczekiwanym naciskiem, który sprawił oderwanie się lodu wzdłuż całego statku. W szkielecie okrętu nie słyhać żadnego trzasku; „Fram“ zatem nie poniósł uszkodzenia.

O 6-ej wieczorem nowy nacisk, trwający około 20-tu minut. Cała ławica zgrzyta i grzmi. W korytarzu hałas jest tak straszny, że wszelka rozmowa staje się niemożliwą. Słychać tylko pojedyncze taktki melodyi Kjerulf'a: „Śpiew słowików nie przeszkadza spać,“ wygrywanej na organach.

10 grudnia. Dziś w jednostajnem naszym życiu zaszedł ważny wypadek: oto zjawia się dziennik „Straż Framu.“ Redaktorem jego jest nasz doktor. Pierwszy numer, odczytany głośno w korytarzu, wzbudza ogólną wesołość.

13 grudnia. Od wczoraj wieczór psy szczekają zaciekle, bez chwili odpoczynku. Straż wielokrotnie

badala okolice, lecz nie odkryła przyczyny psich niepokojów. Dziś zrana zauważyliśmy zniknięcie trzech psów. Po śniadaniu Mogstadt i Peter rozpa rują śnieg naokoło okrętu w nadziei odkrycia śladu zbiegów. U dołu drabiny widać odciski łap niedźwiedzich i lrew. Nasze zuchy dążą przez ławicę nieuzbrojeni, z latarnią w rękę, odprowadzani przez całą psiarnię. O kilkaset kroków za statkiem wyłania się nagle z ciemności olbrzymi niedźwiedź.

Spostrzegłszy go, towarzysze nasi galopem uciekają do okrętu. Modstadt, obuty w lekkie obuwie, umyka szybko, ale Peter w ciężkich butach o drewnianych podeszwach posuwa się bardzo powoli. W zamęcie odwrotu zmylił drogę. Na szczęście, niedźwiedź nie gonił go, lecz stał spokojnie, gdy Peter, pośliizgnąwszy się, upadł między hummock'ami. Wreszcie przybiega do gładkiego lodu, otaczającego okręt; jeszcze kilka kroków i będzie bezpieczny; nagle coś porusza się koło niego; sądził, że to który z psów, gdy w tem... niedźwiedź ukąsił go w bok. Wtedy towarzysz nasz chwycił latarnię i zadał tak gwałtowny raz w głowę niedźwiedzia, że szkło rozprysło się na drobne kawalki. Przestraszone zwierzę cofnęło się, a Peter, korzystając z jego osłupienia, wdrapał się na pokład. Na wieść o tym napadzie, chwytamy fuzye i w kilka minut później napastnik legł martwy.

Następnie udajemy się na poszukiwanie zaginionych zwierząt i wkrótce znajdujemy ich rozplatanne trupy. Widocznie niedźwiedź, nie zwróciwszy naszej uwagi, wdrapał się na pokład po drabinie, po-

rwał psy i później zeszedł tak spokojnie, jak przyszedł.

Kwik wydała na świat 13-cie szczeniąt, drogo-cenny zasilek dla naszej psiarni, doprowadzonej obecnie do liczby 26 zwierząt. Ponieważ Kwik nie mogła karmić więcej jak osiem szczeniąt, więc musieliśmy utopić pozostałe.

Wczoraj znajdowaliśmy się pod 79° szerokości północnej, czyli w ciągu 3-ch dni zyskaliśmy 3 mile. Śnieg nie padał ani razu od chwili, gdyśmy zaczęli zbaczać. Tymczasem Boże Narodzenie się zbliża, a czemuż ono jest bez gęstych płatów śniegu? O jakże pięknym jest śnieg, kiedy białym całunem zaokrągła wszystkie ostre kontury! Bez niego ławica lodowa wygląda jak życie bez miłości.

21 grudnia. Czas bieży niesłychanie szybko. Dziś jest dzień najkrótszy w roku, jeżeli wogóle mam prawo tak mówić, gdyż my obecnie nie mamy dni. Teraz będziemy oczekiwali powrotu słońca i lata. Dziś zapuszczamy sondę i na głębokości 2,100 metrów nie znajdujemy dna. Czyż mogliśmy się spodziewać, że trafimy na taką głębokość?

22 grudnia. Dziś w nocy otrzymujemy nową wizytę niedźwiedzia. Zwierzę z początku skierowało się ku okrętowi, lecz ujrawszy matnię, zastawioną przez Sverdrup'a i Lars'a, zwróciło się ku niej. Na ten widok serce żywiej uderzyło w piersiach naszego kapitana. Z gorączkową niecierpliwością oczekuje on odgłosu, jaki powinno sprawić to narzędzie w chwili przyłapania zwierzyny. Lecz niedźwiedź jest zbyt ostrożnym; starannie ogląda instrument

i, podnosząc się na tylne łapy, opiera się tuż około spustu, aby chociaż na chwilę nasycić się widokiem smacznego kaska słoniny, stanowiącego przynętę.

Po krótkiej chwili wahania się zstępuje na ziemię. Widocznie ten wielki przedmiot, wznoszący się wśród gołego lodu, nie wzbudza w nim zaufania. Obwąchuje podporę, okrąża sidła i przyjrząwszy się im znów dobrze, odchodzi, kiwając głową. Zresztą, mimo całego dowcipu Sverdrup'a, fuzya jest pewniejszą. Zbliżywszy się na 60 kroków do okrętu, niezdźwiedź, powitany salwą wystrzałów, legł martwy. Został rażony jedną tylko kulą. Jak zwykle w takich wypadkach, każdy z czterech strzelających sobie przypisywał zaszczyt celnego strzału.

24 grudnia. Śliczne, białe światło księżyca oświetla milczącą noc. W oczekiwaniu Bożego Narodzenia nasze małe społeczeństwo staje się więcej wesołem. Każdy myśli o swoich blizkich, ale nikt nie pozwala odgadnąć nurtującej go tęsknoty. Korytarz i kajuty są doskonale oświetlone, a „menu“ wieczornej uczyty otoczone szczególną pieczęą, gdyż tylko za pomocą biesiad możemy czcić wielkie uroczystości. Obiad jest doskonały, a wieczerza nie mniej wykwinтна. Po wszystkim podają nam tradycyjne ciastka, nad upieczeniem których Juell pracował od kilku tygodni. Kulminacyjnym punktem święta jest zjawienie się dwóch pudełek z upominkami, daru matki i narzeczonej Hansen'a. Z dziecięcą radością otrzymuje każdy przypadający mu w dziele upominek: fajkę, scyzoryk lub inną podobną drobnostkę. Potem następuje serya toastów, dysputy, a następnie odczytanie nowego numeru „Straży Framy“

wraz z dodatkiem, który ilustrował znakomity artysta podbiegunowy, Huttetu.

25 grudnia. Tam w kraju napewno myślą dziś o nas i smucą się przypuszczeniem cierpień, które, według ich mniemania, przechodzimy wśród wielkich lodowych pustyń oceanu podbiegunowego. Tymczasem nigdy nie prowadziłem życia tak przyjemnego i nigdy jeszcze tak bardzo nie obawiałem się utycia. Wszyscy zresztą tak dobrze obiadujemy, że nie mamy apetytu przy wieczerzy, a z wyjątkiem ciastek, nasza codzienna strawa prawie nie różni się od świątecznej.

W dodatku mieszkamy w trwałym i wygodnym budynku, dobrze oświetlonym lampami naftowymi i elektrycznością. Mamy różnego rodzaju gry dla rozerwania się i całą bibliotekę do nauki. Czyż można jeszcze więcej wymagać?

26 grudnia. Dziś i wczoraj doszliśmy do temperatury — 38°, najniższej z obserwowanych od początku zimy. Spacerując po ławicy, dochodzę do brzegu ogromnego jeziora, pokrytego nowym lodem z szeroką rozpadliną w środku. Jasne promienie księżyca igrają na czarnej powierzchni wody, a widok ten przypomina mi żywo podobne sceny z krainy fiordów. Z wysokości lodowatego pagórka widać błękitną powierzchnię wody, rozciągającą się ku północy.

28 grudnia. Od przodu „Frama,” w kierunku prostopadłym do jego ułożenia, utworzył się kanał. Łód, który powstał na jego powierzchni podczas ostatniej nocy, nosi ślady nacisków. Nie zwracamy najmniejszej uwagi na żadne wstrząśnienia ławicy,

wstrząśnienia, które tyle śtrachu sprawiały naszym poprzednikom. Nie czyniliśmy żadnych przygotowań w obawie jakiegokolwiek przypadku. Nie mamy na pokładzie ani żywności, ani namiotów, ani ubrań, gotowych do przeniesienia. A nie było to bynajmniej skutkiem niedbalstwa. Poprostu nie mieliśmy przyczyny obawiania się nacisku lodów. Mieliśmy już nieraz sposobność ocenienia wytrzymałości naszego okrętu i zaufanie nasze do niego jest zupełne. Przy spotkaniu z potężnym dnem jego najtwardsze bryły muszą się splaszczyc i utracić siłę rzutu.

Według zdania badaczy okolic podbiegunowych, długa noc zimowa wywiera zgubny wpływ na organizm ludzki i sprowadza skorbut. Szczególniej pesymistyczny pogląd wyraził o tej sprawie pewien marynarz angielski, z którym rozmawiałem przed odjazdem. „Nigdy — twierdził on — żadna ekspedycja podbiegunowa nie potrafi ustrzedz się skorbutu; jest to zło nicuniknione. Wszyscy podróżnicy, którzy twierdzili, że wyszli cało, dawali tylko inną nazwę tej strasznej chorobie.“ Teraz mogę śmiało obalić to zdanie własnem doświadczeniem. Noc podbiegunowa nie wywarła na mnie zgubnego wpływu. Przeciwnie, czuję, że podczas tego zimowania odmłodniałem. Życie regularne doskonale oddziaływa na mój organizm. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek był zdrowszy. Co więcej, sędzę, że okolice podbiegunowe mogłyby stać się doskonałem miejscem zdrowotnem dla osób osłabionych, albo dotkniętych cierpieniami nerwowemi. Poprostu wstyd mi za nas wszystkich, ponieważ nie odczuwamy żadnego z tych strasznych cierpień, jakie wywołują długie noce, a które nasi

poprzednicy opisali stylem tak dramatycznym. Ileby one dodały pieprzyku sprawozdaniom z wypraw na północ! Jeżeli i nadal pójdzie, jak dotychczas, to coż będziemy opowiadać, powróciwszy do kraju? Wszyscy towarzysze moi trzymają się doskonale; żaden nie jest błądy i nie ma zapadniętych policzków, zwykłej cechy podbiegunowych podróżników. Posłuchajmy tylko w korytarzu ożywionej rozmowy i głośnych



Odczytywanie anemometru.

wybuchów śmiechu. Wyborny stan duchowy i cielesny zawdzięczamy dobroci i różności pokarmów, doskonałej wentylacji okrętu, częstym spacerom, brakowi wszelkich nadużyć fizycznych, w końcu rozrywkom, jakich codziennie dostarcza nam czytanie i muzyka.

Wielu z moich towarzyszków uskarża się na bezsenność. Brak snu, jak mówią, jest także nicuni-

nionym skutkiem ciemności długiej nocy zimowej. Ja nigdy na to nie cierpiałem. Co prawda, nie oddaję się po obiedzie odpoczynkowi, na wzór wielu mych towarzyszków, którzy przespawszy kilka godzin w czasie dnia, nie mają prawa do snu w nocy. „Człowiek, jak powiedział Sverdrup, nie może spać przez całe życie.“

31 grudnia. Oto ostatni dzień roku, który nam przyniósł wiele złego i wiele dobrego. Rozpoczął się dobrze, bo urodzeniem małej Liv, szczęściem tak wielkim, że mu zaledwie zdołałem uwierzyć. Później nastąpiła smutna chwila odjazdu. Jeszcze żaden rok dotychczas nie przynosił mi tak ciężkiej goryczy. Poczynając od tej chwili, życie moje stało się tylko ciąglem oczekiwaniem. Dobrze powiedział poeta: „Nigdy nie kochaj, jeżeli nie chcesz zaznać trosk i kłopotów.“

Rok zakończył się wspaniałą nocą. Zorza północną rzuca jaskrawe blaski na niebo, błyszczące nieskończoną ilością gwiazd, a na tem tle „Fram“ rysuje się czarnemi, posrebrzonymi szronem konturami.

Wieczorem zebranie nasze odznacza się wesołością. Zwracam się z przemową do mych towarzyszków i dziękuję im za wierne koleżeństwo i zaufanie. Potem następują śpiewy i czytanie poezyi.

3 stycznia. Temperatura waha się między -39° i -40° . Podczas takiego mrozu odczytywanie instrumentów meteorologicznych nie należy do rzeczy przyjemnych, szczególnie zaś odczytywanie termometrów z minimum i maximum, które mieszczą się aż w bocianiem gnieździe. Jeszcze moźolniejsze są obserwacye astronomiczne, które robimy co dwa dni

Dla swobodnego obracania maleńkich śrubek przy używanych do tych spostrzeżeń instrumentach, należy mieć gołe ręce; ztąd też Hansen i jego pomocnik bardzo je sobie często odmrażają. Niekiedy mróz jest tak dojmujący, że badacze muszą przerywać robotę i bić się rękami po bokach. Jednego dnia, gdy mróz dosięga 40°, Hansen w białiznie wychodzi na pokład, aby odczytać instrumenty. A pomimo to byli podróżnicy, którzy twierdzili, że przy tak niskiej temperaturze nie sposób jest czynić jakichkolwiek obserwacji.

4 stycznia. Widnokrąg wydaje mi się niby jaśniejszym, aniżeli zwykle. Być może jednak, że jest to dziełem mej imaginacyi. Mam doskonały humor, chociaż ciągle cofamy się ku południowi. Wreszcie, co my na to poradzimy! Być może, że i w tym kierunku podróż nasza przyniesie rzeczywistą korzyść dla nauki. Tymczasem poznałem przyrodę oceanu Północnego. Głębokie morze, które obecnie przepływamy, jest przedłużeniem wielkich wklęsłości oceanu Atlantyckiego. Przewidywania moje ziściłyby się zupełnie, gdybyśmy napotkali wiatr pomyślny.

Wszystkie moje obrachowania, z wyjątkiem jednego, okazały się słusznymi: wbrew złym przepowiedniom, odbywaliśmy drogę naszą wzdłuż syberyjskich brzegów; zaszliśmy na północ dalej, aniżeli przypuszczałem, i dosięgliśmy właśnie tej długości geograficznej, którą miałem na widoku; zostaliśmy uwięzieni w lodach tak, jak sobie tego życzyłem, a „Fram“ bez uszkodzenia oparł się wszystkim naciskom, podczas gdy najdoświadczeńsi podróżnicy przepowiadali mu zgubę; w końcu, zimowanie nasze

wśród lodów jest daleko mniej przykrem, aniżeli naszych poprzedników. Życie nasze jest podobnem do tego, jakie prowadzilibyśmy w Norwegii; zebrani w jednym miejscu, tworzymy mały zakątek naszej ojczyzny. Jeden jedyny punkt, który zawiódł moje nadzieje, ma wielką wagę: największa głębokość, napotkana przez „Jeanette,” nie przechodziła 164 m.; Wskutek tego przyszedłem do wniosku, że ocean Północny jest bardzo płytki, a zatem przebiegające go prądy, według mego zdania, musiałyby dać się uczuć silniej, a dopływ wód syberyjskich powinienby pchnąć ławicę daleko na północ. Jakież więc było moje zdumienie, gdy znaleźliśmy w oceanie tym przepaści sięgające co najmniej 1800 m., jeżeli nie więcej. Przy tak wielkich masach wody, prądy, gdyby nawet istniały, musiałyby być bardzo słabe. Jediną nadzieję opieram teraz na wiatrach.

Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę wskutek mylnego rachunku, za który zresztą nie był odpowiedzialnym. Bóg tylko może wiedzieć, gdzie nas zaprowadzą moje błędy. Niemniej jestem pewny, iż drzewo syberyjskich lasów, znalezione w Grenlandyi, nie kłamie. Powinnibyśmy zatem przebyć tę samą drogę, co ono.

8 stycznia. Po południu pierwszy raz ukazuje się nad horyzontem Wenus; otoczona czerwoną aureolą, oświetla pystynię lodową, jak potężna latarnia morska. Jest ona gwiazdą mojej maleńkiej Liv, tak jak Jowisz jest gwiazdą mego domowego ogniska. Dzień ten powinienby nam przynieść radość i szczęście. Istotnie, zaczynamy płynąć ku północy. Jesteśmy teraz napewno za 79^o szerokości,

15 stycznia. Posunęliśmy się daleko na północ. Wczoraj znajdowaliśmy się pod $79^{\circ} 19'$ szer. półn. i $137^{\circ} 31'$ dług. wsch. Podczas dnia urządziłem daleką wycieczkę pieszą. Lód jest gładki, doskonały do podróży saniami. W miarę tego, jak się posuwam, staje się coraz równiejszym. Im więcej przyglądam się lawicy, tembardziej dojrzewa w mej głowie plan, nad którym już oddawna rozmyślałem. Po takim lodzie możnaby było dosięgnąć bieguna północnego saniami, zaprzężonemi w psy, podczas g'ly okręt odbywałby drogę do ziemi Franciszka Józefa, Szpicbergu albo Grenlandyi. W każdym razie byłoby przedwczesnem wyjeżdżać zaraz następnej wiosny. Najprzód musiałbym zbadać kierunek prądów w czasie lata. Następnie, czyż byłoby dobrze opuszczać mych towarzyszków, i czy mógłbym powrócić do Norwegii, gdyby naprzykład oni zginęli razem z „Framem?” Lecz z drugiej strony, czyliż wyprawa nasza nie miała na celu zbadania wodozbioru północnego i czy nie w tym celu ludność Norwegii dawała chętnie swe pieniądze? A zatem obowiązkiem mym jest robić wszelkie możliwe usiłowania, aby dosięgnąć celu. Tymczasem postanowiłem czekać.

Czwartek, 18 stycznia. Wieje wiatr z północno-wschodu, z szybkością 5—6 metrów na sekundę. Te wielkie wiatry powodują zawsze podniesienie się temperatury, która dziś dosięga — 25° . Południowe, mniej silne, oziębiają, podczas gdy północne ogrzewają powietrze. Payer przypisuje ogrzanie się warstw powietrza przejściu wiatrów nad wolną powierzchnią morza. Objaśnienie to nie wydaje mi się dokładnem, zwłaszcza w tych okolicach, gdzie nie spotyka się

otworów w ławicy. Według mojego zdania, podwyższenie się temperatury jest skutkiem dojścia do powierzchni ziemi górnych warstw powietrza. W istocie, powietrze znajdujące się wysoko nad ziemią, powinno mieć temperaturę wyższą od tych warstw jego, które otaczają ziemię i ochładzają się wskutek zetknięcia z lodami. Zresztą rozrzedzone powietrze, zstępujące z wyższych warstw ku ziemi, powinno rozgrzać się skutkiem zgęszczenia.

Dziś, gdy wyszedłem na pokład, zauważyłem Kaifasza, szczekającego wściekle w kierunku wschodu. Zapewne ukazało się w tamtej stronie jakie zwierzę. Wziąłem rewolwer i poszedłem, ażeby zbadać przyczynę niepokoju. Pies, zobaczywszy to, pobiegł naprzód. Starannie badam okolicę, lecz nic nie mogę odkryć. Kaifasz szczeka jednak ciągle i nastawia uszy. Co chwila spodziewam się ujrzeć niedźwiedzia. Dochodzę wreszcie do brzegu otworu sąsiadującego z okrętem; pies nasz posuwa się powoli i ostrożnie. w końcu zatrzymuje się i głucho warczy, wnosząc z tego, że zwierzyzna znajduje się niedaleko. Wdrapuję się na hummock i spostrzegam przed sobą ciemną, poruszającą się masę. „Czarny pies”—mówię do Sverdrupa. — „Ależ nie, to niedźwiedź!”—brzmi odpowiedź. To, co wziąłem z początku za psa, okazuje się głową zwierzęcia. Chód jego istotnie jest chodem niedźwiedzia, ale to białe zawsze zwierzę okazuje się tym razem zupełnie czarnem. Posuwam się naprzód, trzymając w ręce rewolwer i gotów do posłania mu wszystkich sześciu kul. Nagle spostrzegam, że zwierzę podnosi się; w jednej chwili poznaję w niem konia morskiego. Ol-

brzymie zwierzę rzuca się do wody i daje nurka; później, powróciwszy na jej powierzchnię i parsknąwszy, przygląda się nam ciekawie. Na nicby się nie przydało strzelać z rewolweru do takiego potwora; byłoby to to samo, co chcieć złapać wróbla, nasypany mu soli na ogon. Co za szkoda, że nie wzięliśmy z sobu harpuna! Powracamy zatem do okrętu, ażeby się zaopatrzyć w potrzebną broń. Lecz w czasie, gdy ją przygotowujemy, zwierzę znika. Przedtem, o ile wiem, nigdy nie spotykano koni morskich na ławicach, wśród pełnego morza.

Płyniemy na północ; dzisiaj znajdujemy się pod $79^{\circ} 41'$ szer. półn. i $135^{\circ} 29'$ dł. wsch.

25 stycznia. Przechadzając się dzisiaj, doszedłem do końca otworu, położonego na wschodzie od „Frama“. Długość tego kanału wynosi, co najmniej, 11 kilometrów. Gdy wracałem z wycieczki, ławica zaczęła się poruszać. Młody lód, pokrywający kanał, łamie się pod moim ciężarem i układa w formę dwu wysokich murów. Słychać niby skowyczenie psa, niby huk wodospadu. Po kilkakroć przejście zamyka się przedemną; raz tworzy się na mej drodze obszerny otwór, to znów wznosi się wysoki pagórek z brył lodowych.

Ta część ławicy, gdzie spoczywa „Fram“, położona na południe, od nas, zdaje się posuwać ku wschodowi, jeżeli zresztą część lodu, na której się znalazłem, nie płynie ku zachodowi.

27 stycznia. Dnie znacznie się powiększają. W południe możemy czytać dzienniki. Wieczorem następuje znów dwugodzinny silny nacisk. Lody pękają i łamią się w gwałtownych uderzeniach,

a szczątki ich zbierają się w wysokie ściany wzdłuż brzegów jeziora. Po jakimś czasie wszystko się uspakaja, a ja powracam do korytarza; lecz, zaledwie wziąłem się do roboty, nacisk powtarza się z jeszcze większą siłą. Okręt drży, a straszne te wstrząśnienia trwają do godziny 10 $\frac{1}{2}$. O trzy kwadransy na dwunastą atak znów się powtarza, lecz tym razem z większą siłą. Powoli wszystko powraca do porządku. Uderzenia były szczególnie gwałtowne z tyłu okrętu.

Księżyc jest w ostatniej kwadrze. Pojawienie się zatem nacisku nie zgadza się z teorią, którą zbudowałem na mocy poprzednich obserwacji. Być może, że zawdzięczamy go sąsiedztwu jakiego ładu.

30 stycznia. Od pozawczoraj uspokoiło się wszystko; płyniemy na południo-wschód. Gdy wiatr wieje przez pewien czas w jednym kierunku, ławica doznaje ciśnienia z tej samej strony; później, gdy ustanie, następuje rozszerzenie się jej w stronę odwrotną. Oddziaływaniu temu winni jesteśmy, przypuszczam, cofnięcie się na jedną milę od 27 stycznia i gwałtowny nacisk, który miał wtedy miejsce. Poczynając od tego dnia, lód jest spokojny.

2 lutego. Dziś znajdujemy się pod 80° 10' szer. półn. i 132° 10' dł. wsch. Urządzamy wielką ucztę na pokładzie, aby godnie uczcić przejście 80 go stopnia.

6 lutego. Termometr waha się między — 47° i — 48°. W salonie dochodzi do + 22°. Gdy wychodzimy na dwór, różnica temperatury wynosi przeszło 69°. Niemniej, będąc nawet lekko odziani i z głową głową nie doznajemy uczucia chłodu. Po-

wietrze jest spokojne i jasne; horyzont na południu błyszczący złotawem światłem, które przechodzi w zielone i błękitne. Niebo włoskie nie posiada więcej niebieskiej barwy; tu ciemne zabarwienie występuje w czasie wielkich chłódów. Nazajutrz termometr spadł do $-49,6^{\circ}$. Oj ostatniego miesiąca waga ciała wszystkich członków naszej małej kolonii znacznie się powiększyła.

15 lutego. Urządzamy długą wycieczkę na saniach; po gładkim lodzie 4 psy mogą ciągnąć dwóch ludzi. Studyuję ważną kwestyę pochodzenia przez ławicę, mając na widoku plany, tyżące się przyszłości.

Jakże przesadne są obawy, napędzane przez niską temperaturę podbiegunową! Oczywiście, nie może być gorąco, gdy chłód dochodzi -40° do -45° . Mrozy takie nie sprawiają jednak żadnych cierpień. Wczoraj, podczas wycieczki na „ski“, odziany byłem w zwykłą koszulę i dwie skórzane bluzy; na nogach, prócz spodni, miałem nakrycia gołeniowe z grubego płótna, a za powrotem byłem spocony.

Dzisiaj na wycieczkę saniami przywdziałem koszulę flanelową, kurtkę wełnianą, gruby surduty i bluzę z foczej skóry. W takim odzieniu temperatura wydaje mi się wcale przyjemną, a nawet kilkakrotnie spocilem się. Na twarzy mam maskę flanelową, ale przybranie to zanadto mnie ogrzewa. Kładę je tylko wtedy, gdy zimny wiatr dmie mi w twarz.

15 lutego. Podczas gdy poprzednich dni zbaczaliśmy na południe, obecnie płyniemy ku północy. Znajdujemy się teraz pod $80^{\circ} 1'$. Pomimo to od 12 lutego wiatr wieje ciągle z północy. W południe doznajemy wielkiego wzruszenia: po 112-dniowej nieo-

becności na horyzoncie ukazuje się słońce, albo przynajmniej jego obraz, powstały wskutek załamania promieni świetlnych. Naprzód widać długą smugę światła; z biegiem czasu ukazują się dwie inne, położone jedna nad drugą i oddzielone ciemnym przedziałem. Z wysokości bocianiego gniazda spostrzegam cztery, a później pięć takich pręg, wszystkie jednakowej długości. Razem tworzą one słońce prostokątne, różowego koloru, poprzerzynane ciemnymi smugami. W południe, według dokonanych obserwacji, gwiazda ta znajdowała się jeszcze o $2^{\circ}2'$ pod horyzontem. Dopiero 20-go lutego słońce miało wyjść nad horyzont. Wypadek ten, rzecz naturalna, stał się powodem do urządzenia uczty.

22 lutego. Od trzech dni dmie wiatr z południa. Tymczasem znajdujemy się dopiero pod $80^{\circ}11'$. We wrześniu przebywaliśmy pod 79° , od tego więc czasu zyskaliśmy tylko jeden stopień. Z tą szybkością potrzebowalibyśmy 45-ciu miesięcy dla osiągnięcia bieguna, 90-ciu albo 100-u dla dojścia po drugiej jego stronie do 80° szer., a tylko dwóch miesięcy... ażeby powrócić do Norwegii. Przypuszczając, że prąd płynie ciągle z tą samą szybkością, nie możemy się spodziewać rychlejszego powrotu, aniżeli za 8 lat. Przed odjazdem, gdy w naszym ogrodzie przy domu sadziłem dla przyszłych pokoleń krzaczki i młode drzewka, Bragger pisał bardzo słusznie: „Kto zgadnie, jak wielkim będzie ich cień, gdy powróci.“ Obecnie rośliny te znajdują się pod śniegiem, lecz na wiosnę zaczną puszczać pączki i rosnać, oby tylko cienie ich, gdy powrócę, nie były zbyt wielkie! Bezczynność jest denerwującą. Odczuwam konieczną potrzebę ciężkich

ćwiczeń cielesnych. Dlaczego nie przyjdzie burza, nie wstrząśnie lawicy i nie wzbudzi fal; gdybyśmy mogli walczyć lub przynajmniej cośkolwiek robić... ale pozwolić, aby nas prowadziły do celu ślepe siły natury, na to potrzeba więcej energii, aniżeli na walkę.

19-go lutego wierciliśmy lód. Z lewego boku okrętu grubość jego dosięgała 1,⁸⁷⁵ m., u przodu — 2,08 m. Rozmiary te nie są zbyt wielkie, jeżeli przypomnimy sobie, że lód jest dawny, co najmniej miesięczny, i że w ciągu ubiegłego miesiąca temperatura spadała do — 40°. Część lodu, na której pomieszczone są sidła na niedźwiedzie, dosięga grubości 3,45 m. Prócz tego kilka brył lodowych przyłgnęło do jego powierzchni, pogrążonej w wodzie. Część ta przedstawia podobne uwarstwowanie jak w lodowcach, które staje się widocznym wskutek osadzenia się substancyj czarnych, zabarwionych czerwonymi ciałkami organicznymi. Warstwy te w rozmaitych miejscach są pogięte i połamane, jak w przekrojach geologicznych. Wygięcia te spowodowane były prawdopodobnie bocznym naciskiem, powstającym w czasie starcia się brył lodowych. Ułożenie to szczególnie było widocznym przy wielkim „torossie,” który się utworzył w czasie ostatniego nacisku. Tafla lodowa, gruba na 3 metry, została zgiętą bez złamania pod pagórkem, który zwałił się na jej powierzchnię. Pod ciężarem tego ładunku powierzchnia tafli w niektórych miejscach pogrążyła się pod wodę, w innych podniosła się do 0,5 m. nad poziom morza. Pomimo więc wielkiego mrozu lód pozostaje elastycznym. W tym czasie temperatura lawicy na niewielkiej głę-

bokości powinna była wahać się między — 30° i — 20° . Wciąż postępujemy naprzód i znów cofamy się.

24 lutego. Po 20-godzinnym wietrze południowym znaleźliśmy się pod $79^{\circ}54'$. Później płyniemy na wschód, a w końcu na północo-wschód.

27 lutego. Przybywamy znów pod $81^{\circ}10'$, a teraz jesteśmy odsunięci wiatrem południowo-wschodnim. Dziś i wczoraj termometr wskazuje — 37° i 38° . Obecnie wiatr północny zniża temperaturę, a południowy podnosi ją. W początku zimy rzecz miała się przeciwnie.

12 marca. Ciągłe zbaczamy ku południowi. Zaczynam się zniechęcać. Czyliż nie mam prawa? Jedna za drugą wszystkie moje nadzieje obracają się wniwecz, a w czasie tego natura, obojętna na nasze cierpienia, toczy się wciąż tem samym kołem. Dziś jest bardzo zimno. Termometr spada do — 48° , 11-go do — 50° , a wieczorem tegoż dnia do — $51,2^{\circ}$. Niemniej codziennie urządzamy wycieczki. Jakkolwiek nie ubieramy się cieplej niż zwykle, taka niska temperatura nie daje się nam zbyt mocno odczuwać; przeciwnie, wydaje się bardzo przyjemną. Czujemy zimno tylko na brzuchu i w nogach, lecz dość jest uderzyć się kilka razy w podeszwy, ażeby się rozgrzać. Z pewnością moglibyśmy znieść temperaturę jeszcze o 10° , 20° , a może i 30° niższą. W Norwegii, w czasie 20-stopniowego mrozu, zaledwie decydują się wyjść na powietrze, nawet gdy jest zupełnie cichem; tu nie waham się wychodzić nawet podczas 50° i przy silnych wiatrach.

13 marca. Dzisiaj otrzymujemy nowe odwie-



„Fram“ na pełnem morzu.



Odczytywanie barometrów.

dziny morsa. Psy spostrzegają go z okrętu, z odległości co najmniej 1,000 m., jakkolwiek nie jest bardzo jasno. Zwierzęta te mają wzrok nadzwyczajnie bystry.

16 marca. Urządzamy wycieczkę na saniach z żaglami. Próba wypadu szczęśliwie. Mały wiatr wystarcza do szybkiego posuwania nas naprzód.

21 marca. Nakoniec wiatr południowo-wschodni zmienia się na północny. Dzień porównania dnia z nocą minął, a my znajdujemy się pod tą samą szerokością, co w jesieni. Gdzież będziemy w przyszłym wrześniu? Jeżeli znajdziemy się więcej na południu, tryumf nie będzie pewnym, gdy przeciwnie posuniemy się ku północy, wygramy. Wszystkie nadzieje pokładam obecnie w porze letniej. Wielka powierzchnia wolnego morza, która we wrześniu rozciągała się do 70°, zawdzięczała swoje powstanie nie temu, że stopniały lody, lecz wiatrom i prądom, które je rozpędziły. Ażeby więc morze było wolne, ławica, a z nią i „Fram“, musiałyby być odepchnięte na północ.

26 marca. 23-go byliśmy pod 80°, więc w ciągu 4-ch dni odzyskaliśmy przestrzeń straconą w ciągu trzech tygodni. Termometr naszego usposobienia podnosi się w górę, jednakże nie na długo, bo 26-go marca znów przestajemy płynąć na północ.

Słońce wschodzi i oświetla olbrzymią lodową pustynię. Wiosna przybywa, ale nie przynosi z sobą radości. Jest zimną i smutną. Jeszcze ze 7 lat takiego życia, a choćby tylko cztery — w jakimże moralnym stanie znaleźlibyśmy się wówczas?

Jednostajna bezczynność łamie wszelką energię w człowieku. Życie upływa bez najmniejszej walki. Wszystko jest spokojne i martwe, pogrzebane pod skorupą lodu. A tymczasem trzeba się uzbroić w cierpliwość i czekać, dokąd zanieśie nas ten powolny prąd. Jeżeli płynie on nie w tym kierunku, jaki przypuszczałem, musimy pieszo wybrać się przez ławicę ku biegunowi. Jestem na to zdecydowany, gdyż nie widzę innego sposobu osiągnięcia celu naszej wyprawy. Będzie to przedsięwzięcie nierozważne, walka na śmierć i życie, lecz nie mam wyboru. Niegodnem jest człowieka podejmować się czegoś i opuszczać przy pierwszym niepowodzeniu.

Na pokładzie wszyscy są zajęci: jedni wyrabiają żagle dla łodzi, sani i dla wiatraka; inni kują noże i oszczepy na niedźwiedzie, albo robią buty z drewnianymi podeszwami. Doktor, który z powodu braku chorych zawsze odpoczywa, teraz zajmuje się introligatorstwem, a ja z pomocą Amundsena naprawiam nuty do arystonu, które zepsuła wilgoć.

6 kwietnia. Dziś zdarzył się wielki wypadek; czekamy na zaćmienie słońca. Według obliczeń Hansena, przypada ono o godzinie 12-ej m. 56. Rzecz idzie o to, ażeby wybrać dogodne miejsce do obserwacji i sprawdzić chód naszych chronometrów. Naprzód pomieszczamy na łodzi wielką lunetę i teodolit i podczas dwóch godzin Hansen, Johansen i ja, co pięć minut zmieniamy się przy instrumentach. W końcu zbliża się chwila stanowcza. Hansen, stojący przy lunecie, ma baczną uwagę na słońce, a Johansen patrzy na chronometr. Cień zjawia się na brzegach gwiazdy. „Top!”—krzyczy nasz astronom. „Top!”—odpo-

wiada Johansen. Chronometr wskazuje 12 h. 56' i 7,5", a zatem tylko o 7,5" później, aniżeli wskazały obliczenia Hansena — rezultat doskonały, dowodzący regularnego chodu chronometrów.

7 kwietnia. Rano zbudził mnie odgłos szybkich kroków, które rozlegały się w oficerskiej izdebce, pomieszczonej na tyle okrętu. Oczywiście biegli ludzie; bezwątpienia w okolicach pokazał się niedźwiedź. Nie słysząc wystrzałów, pogrążyłem się znów w marzeniu, gdy nagle usłyszałem głos Johansena. On i Mogstadt zabili dwa niedźwiedzie, przynajmniej utrzymują tak i powracają szukać nabojów. Wszyscy wychodzą na pokład. Nie zwlekając ubieram się, nadziewam „ski“ i wkrótce spotykam gromadę myśliwych, którzy wracali, nic nie wskórawszy. Niedźwiedzie, zabite jakoby od pierwszego strzału, podniosły się i uciekły. Niemniej puszczam się na ich poszukiwanie. Rozmiary śladów wskazują, że przechodził niedźwiedź i niedźwiedziątko. Zdaje się, że matka musiała być ciężko ranioną. Ślady, pozostawione na śniegu, świadczą, że kilka razy upadała, więc dogonię ją niezadługo. W tej nadziei ścigam ją dalej. Tymczasem spada gęsta mgła. „Fram“ skrył się oddawna. Niemniej idę jeszcze czas jakiś. W końcu zatrzymuję się: uczuwam silny głód. W pośpiechu zapomniałem zjeść śniadania, a powracam na pokład dopiero o godzinie 5 $\frac{1}{2}$, wieczorem. W czasie mej nieobecności kilku towarzyszy, którzy puścili się saniem, aby zabrać upolowaną przezemnie zwierzynę, spostrzegli dwa inne niedźwiedzie. Johansen strzelił bez żadnego rezultatu, ja również. Spotkaliśmy zatem cztery niedźwiedzie jednego dnia, podczas gdy przez

trzy miesiące nie widzieliśmy ani jednego. Okoliczność ta nie jest bez znaczenia. Może być, że zbliżamy się do jakiegoś ładu. Dziś znajdujemy się pod $80^{\circ} 15'$. Dotychczas jeszcze nie byliśmy tak daleko na północy.

30 kwietnia. Dosięgamy $80^{\circ} 44'$, a wiatr wieje ciągle z południa i południo-wschodu. Czas jest prześliczny, wiosenny, chociaż nie potwierdza tego termometr. Zaczynamy doprowadzać okręt do porządku. Śnieg i lód, pokrywające pokład i ściany „Frama“, zostały odrzucone, a wszystkie części okrętu porządnie wyczyszczone. Maszyny wznoszą obecnie czarne swe sylwetki.

Grzejemy się na słońcu i ścigamy okiem białe mgły, unoszące się w przezroczystym powietrzu. W czasie tego odpoczynku marzymy o wiosnie w Norwegii, o puszczaniu pączków przez rośliny, o kwiatach. A tu we wszystkich kierunkach wielka biała pustynia lodowa przygniotła ciężarem śmierci morze pełne życia.

ROZDZIAŁ III.

Wiosna i lato wśród lodowisk.

W końcu nadeszła pora, którą w Norwegii nazywamy wiosną, pora szczęścia i życia, obudzenie się natury po długim uśpieniu zimowem. Tu nie sprowadziła żadnych zmian. Jest to zawsze ta sama pustynia lodowa.

Stosownie do tego, czy prąd unosi nas ku południowi, czy ku północy, jesteśmy zniechęceni, lub pełni nadziei i wtedy tworzę plany na przyszłość. Jednego dnia jestem pewien, że się ziszczą. 17-go kwietnia, gdy zostaliśmy odepchnięci ku północy. jestem przekonany o istnieniu prądu w oceanie Północnym. 27 godzin wiatru północnego sprawiło, że wygraliśmy 9 mil. W każdym razie zdaje się, że już nie zbaczamy ku południowi. Obecność w morzu cieplejszych warstw wody jest bardzo pomyślnym znakiem.

W czasie wiosny łatwiej posuwaliśmy się na przód, aniżeli podczas zimy. 1-go maja byliśmy pod 81° , a 18 Czerwca doszliśmy do 83° . W lipcu i sierpniu, wbrew chęciom, zostaliśmy odrzuceni napowrót a 1-go września znaleźliśmy się znów pod $81^{\circ} 14'$. Jednym słowem, nasza podróż polegała na ciągłym wahaniu się z południa ku północy i naodwrot. Trzeba jeszcze dodać, że „Fram,” płynąc na północ, był zwrócony przodem na południe. Zdawało się, że nie chciał odsunąć się od okolic zamieszkałych, że rwał się do brzegów południowych, podczas gdy niewidzialna siła pchała go w świat nieznan.

W czasie wiosny, mając na myśli przyszłą projektowaną wycieczkę ku biegunowi, studyowałem starannie warunki życia na ławicach za pomocą wycieczek na „ski” lub na saniach.

W kwietniu lód zrobił się bardzo dogodnym dla psów. Pod działaniem promieni słonecznych pagórki lodowe zostały w części zniesione, a szczeliny pozamykały się. Można było podróżować całe mile, nie napotykając nigdzie przeszkód. W maju stan rze-

czy się pogorszył wskutek utworzenia się mnóstwa kanałów i szerokich rowów, rozsianych we wszystkich kierunkach, które na każdym kroku tamowały drogę. W pierwszych dniach miesiąca, wskutek wielkich mrozów, powierzchnia wody pokryła się nagle warstwą lodu, dostatecznie grubą, aby wytrzymać ciężar naszej karawany. Z biegiem czasu, wskutek podwyższenia się temperatury, lód zaczął się tworzyć daleko wolniej, a nareszcie przestał. W końcu maja i w początkach czerwca można było zaledwie bardzo powoli posuwać się między nierozwikłaną siatką kanałów i jezior, przerywających ławicę we wszystkich kierunkach.

W końcu czerwca ławica stała się niemożliwą do przebycia. Szerokie, wodozbiory pokrywały kry i na każdym kroku trzeba było grzęznąć w wodzie, albo napół roztopionym śniegu. Po takim gruncie pochód stał się niemożliwym. Jesteśmy zamknięci wśród topniejącej ławicy; jednakże niebezpieczeństwo tego położenia nikogo nie trwoży. Przeciwnie, wszyscy cieszą się coraz szybszem posuwaniem się na północ i wierzą, że jest to kwestya życia i śmierci. Jeżeli „Fram,” tak jak nam przepowiadano, zostanie rozbity na wzór „Jeannety,” a my nie zdążymy zabrać wystarczających zapasów, aby móc płynąć na bryle lodowej ku północy, powrót stanie się koniecznym, a wynik jego może być nieszczęsny wśród psującej się ławicy. Istotnie, straszne były cierpienia wyprawy amerykańskiej, a tymczasem znajdowała się ona pod 77°. Przestrzeń, dzieląca nas od lądu, jest dwa razy większą od tej, jaką miała przebyć owa wyprawa, aby dojść do syberyjskich brzegów. Je-

steśmy oddaleni o 240 mil od przylądka Czeluskin, a od niego do pierwszych zamieszkałych brzegów przejazd jest długi i straszny. Lecz „Fram“ pozostanie całym. Nikt na pokładzie nie wierzy w możliwość jego rozbicia. Jesteśmy podobni do żeglarza. pływającego w kajaku. Wie on dobrze, że jedno błędne poruszenie wiosłem narazi go na śmierć; mimo to posuwa się wciąż naprzód, pewien, że fałszywego poruszenia nie uczyni.

W lipcu ławica stała się jeszcze nieznośniejszą. Wszystkie kry zalała woda słodka, na której utworzyła się warstwa lodu. Za każdym naszym stąpieniem ów cienki lód łamał się, a my musieliśmy brnąć w zimnej wodzie. Kupy miękkiego śniegu, nagromadzone między pagórkami, nie mogły utrzymać ciężaru człowieka, pomimo, że mieliśmy na nogach długie łyżwy, zwane „ski.“ Później, gdy śniegi kompletnie stopniały, ławica stała się przystępną. Na powierzchni oddzielnych kawałów lodu potworzyły się z biegiem czasu obszerne wodozbiory. 8 i 9-go lipca „Fram“ pływał jakby po jeziorze słodkiej wody, a my musieliśmy zbudować most, aby suchą nogą dosięgnąć brzegu. Niektóre z tych powierzchni były bardzo rozległe i głębokie. Jedna z nich, na prawo od okrętu, była tak wielką, że mogliśmy po niej pływać łodziami. Dla wielu z nas stanowiło to jedną z najprzyjemniejszych wieczornych rozrywek. Każda barka miała swego kapitana, jego pomocnika i porucznika, lecz nie miała majtków. Podczas gdy statki przerywały zygzakiem powierzchnię jeziora, towarzysze nasi pozostali na brzegu zabawiali się rzucaniem na żeglarzy kul śniegowych. Zabawy te nie były po-

zbawione praktycznej korzyści. Jednego dnia urządziliśmy próbę i przekonaliśmy się, że wszyscy 13-tu możemy się pomieścić w jednej łodzi. Gdy psy zobaczyły, że opuszczamy „Fram“ i że kierujemy się do stawu, okazały wielkie wzruszenie, a później, gdy już zajęliśmy miejsca w łodzi, myśląc, że uciekamy od nich, podniosły straszną wrzawę, widocznie na znak rozpacz. Kilka z nich rzuciło się w pław, aby nas gonić, a inne, roztropniejsze, okrążając jezioro, z drugiej strony biegły na nasze spotkanie. W kilka dni później, ku wielkiemu zmartwieniu, znaleźliśmy staw suchym. Szczelina otworzyła się na jego dnie i cała ilość słodkiej wody wypłynęła tym otworem.

Zatem, oprócz dużych powierzchni wodnych, rozciągała się we wszystkich kierunkach sieć kanałów. Kanały te nie dosięgały nigdy znaczniejszej szerokości i łatwo je można było przeskakiwać. Ławica, jakkolwiek pokryta jeziorami i poprzerynana rowami, była zbyt silnie spojona, abyśmy mogli myśleć o wydobyciu się z jej uścisków. Zresztą „Fram“, nawet uwolniony, mógłby się posunąć zaledwie na kilkaset metrów ku północy. Wielokrotnie już z wysokości bocianiego gniazda dostrzegaliśmy w sąsiedztwie szerokie przestrzenie wolnego morza, lecz gdybyśmy nawet dosięgli ich, nie zajechalibyśmy zbyt daleko. Przed końcem lata, jak twierdził Jakobsen, „Fram“ z pewnością wydobędzie się z uwięzi i będziemy mogli płynąć ku północy. Nadzieję podzielali wszyscy, z wyjątkiem mnie i Sverdrupa. Wszyscy podróżnicy, którzy zostali uwięzieni w ławicach, oczekiwali z niecierpliwością chwili pęknięcia lodów,

Ja, przeciwnie, życzyłbym sobie, aby nasza wyspa zachowała spójność i nadal niosła nas ku północy. Wszystko zależy od punktu, z jakiego rozpatrujemy daną sprawę. Żeglarz, puszczający się w drogę z nadzieją korzystania z wolnych przestrzeni morza aż do samego bieguna, narzeka, gdy go uwięzi ławica, podczas gdy inny, zdecydowany dać się pochwyć lodom, nie skarży się nawet wtedy, gdy napotyka morze wolne od nich. Wszystkie spękania ławicy powstały wskutek wiatrów, przyptywów i odpływów morza, popychając się to w tym, to w owym kierunku. Powierzchnia oceanu Północnego pokryta jest bryłami lodu, znajdującymi się w ciągłym ruchu i albo połączonych z sobą, albo też rozdzielonych i ciągle popychanych jedna ku drugiej. W czasie całej podróży „Frama“ robiliśmy spostrzeżenia, ażeby zbadać proces tworzenia się lodów. Zimą i wiosną grubość jego ciągle wzrastała, ale jak widać z poniższej tablicy, powiększanie się jego było coraz powolniejsze, podczas gdy twardość stopniowo rosła.

D a t a	Grubość lodu
10 kwietnia . . .	2,31 m.
21 „ . . .	2,41 m.
5 maja	2,45 m.
31 „ . . .	2,42 m.
9 czerwca	2,58 m.
29 „ . . .	2,58 m.
4 lipca	2,57 m.
10 „ 	2,76 m.

Powiększanie się brył lodowych w lecie wydawało mi się z początku niewytłómaczonem. Wskutek rozmaitych strat, na które była wystawiona codzien-

nie dolna ich powierzchnia, objętość ich powinna była zmniejszać się. Tymczasem dokładniejsze spostrzeżenia odkryły mi przyczynę tego zjawiska. Woda słodka, tworząca się wskutek tajania śniegów, formowała się na powierzchni morza warstwą mniej więcej grubą na 3 metry. W miejscu zetknięcia się z wodą morską daleko zimniejszą musiała zniżyć temperaturę, a nawet zamarznąć. Była to właśnie owa warstwa lodu wody słodkiej, która, przylegając do spodu brył lodowych, powiększała ich grubość. Wiercenia wykazały istotnie obecność pod starymi kawałami pokładów lodu, odznaczającego się małą spójnością. W czasie lata grubość ławicy zmniejszała się jednakże wskutek znacznego topnienia zewnętrznej jej powierzchni, jak to widać z następujących spostrzeżeń:

Data	Grubość lodu	Cała grubość bryły. Różnica z wielkością poprzedzającą pokazuje przyrost warstwy lodu wo- dy słodkiej
24 lipca 1894 r.	2,33 m.	2,49 m.
10 sierp. „	1,94 „	2,49 „
22 „ „	1,86 „	2,06 „
3 wrześ. „	„	2,02 „
20 „ „	„	1,98 „
3 paźdz. „	1,75 „	„
12 „ „	1,80 „	2,08 „
10 listop. „	„	„
11 grudnia „	„	2,11 „
3 stycz. 1895 r.	2,32 „	2,32 „
18 „ „	„	2,48 „
6 lutego „	„	2,59 „

Bryły i pagórki bardzo grube powstały nie skutkiem zamarzania wody, lecz skutkiem nagromadzenia lodu przez wiatry, przyływy, odpływy i t. d. Bardzo często przy wstrząśnieniach ławicy olbrzymie jego odłamy oślizgują się jeden pod drugi. Raz utworzone skupienia przyjmują pozór masy zupełnie jednolitej. Tym sposobem nawał lodu pod „Framem“ dosiędął grubości 10 m. Temperatura lodu na powierzchni ławicy, w czasie lata, zniżała się gwałtownie w miarę wzrostu mrozów zimowych. Przeciwnie, w warstwach głębiej leżących wzrasta powoli. W części zewnętrznej brył, oblewanych przez wodę morską, temperatura utrzymuje się w jednym stopniu z temperaturą wody. W marcu i w początkach kwietnia obserwowałem najniższą temperaturę: na głębokości 1,2 m. i 0,8 m. była równą -16° i -20° . Zaczynając od pierwszych dni kwietnia, podnosiła się bardzo powoli. W czasie wielkich mrozów lód jest twardy i kruchy. Każde silniejsze uderzenie łatwo go łamie. W lecie, przeciwnie, jest miękki i plastyczny; wskutek tego tłucze się z trudnością. Zmiana ta w stanie ławicy objawia się w sposób niezwykły. W lecie plastyczny lód może być naciskany bez najmniejszego odgłosu, podczas gdy zimą towarzyszy temu zjawisku gwałtowny łoskot. W czerwcu i lipcu naciski lodu mogły dokonywać się bez zwrócenia, choćby najmniejszym szmerem, naszej uwagi.

Podczas lata w dalszym ciągu prowadziliśmy badania naukowe. W zimie przebyliśmy przestrzeń 4,000 do 5,000 metrów. Podróż nastęrczyła nam sposobność dosięgnięcia dna morskiego. Głębokość zmieniała się od 3,300 do 3,900 metrów. Ciężkawe to

odkrycie obala fałszywe przypuszczenia, jakie robiono o oceanie Północnym. Oprócz mierzenia głębokości, dokonaliśmy szeregu spostrzeżeń, dotyczących się temperatury wody morskiej w rozmaitych głębokościach. Wszystkie dane termometryczne okazują jednakowe wahania się. Różnice ciepłoty rozmaitych warstw z miesiąca na miesiąc zmieniały się zaledwie na setne części stopnia. Jako przykład podaję poniżej rezultat sondowania termometrycznego, dokonanego w dniach 13-m do 17-go sierpnia:

Głębokość	Temperatura
Na powierzchni	+ 1,02°
2 metry	— 1,32°
20 „	— 1,32°
40 „	— 1,50°
60 „	— 1,50°
80 „	— 1,50°
100 „	— 1,40°
120 „	— 1,24°
140 „	— 0,97°
160 „	— 0,58°
180 „	— 0 31°
200 „	— 0,03°
220 „	+ 0,19°
240 „	+ 0,20°
260 „	+ 0,34°
280 „	+ 0,42°
300 „	+ 0,34°
350 „	+ 0,44°
400 „	+ 0,35°
450 „	+ 0,36°
500 „	+ 0,34°

Głębokość	Temperatura
600	+0,26°
700	+0,14°
800	+0,07°
900	-0,04°
1000	-0,10°
1200	-0,28°
1400	-0,34°
1600	-0,46°
1800	-0,60°
2000	-0,66°
2600	-0,74°
2900	-0,76°
3000	-0,73°
3400	-0,69°
3700	-0,65°
3800	-0,64.

Z zestawienia powyższego widać, że pomiędzy dwiema warstwami zimnej wody znajduje się warstwa cieplejszej. Od powierzchni do 80 m. głębokości temperatura wody zniża się, lecz następnie wzrasta aż do 280 m. głębokości. Obniżywszy się po raz drugi przy 300 m., w dalszych głębiach znów się podnosi. Poniżej 450 m. widzimy stopniowy spadek temperatury aż do 2,900 m., po którym następuje trzecia i ostatnia podwyżka. Niekiedy warstwa wody cieplej dosięga temperatury nieco wyższej od wskazanej w tablicy. Tak np. 17-go października na głębokości 300 m. termometr wskazywał +0,85°, na 350 m. +0,76°, na 400 m. +0,78°, a na 500 m. +0,62. Poczynając odtąd, temperatura zniżała się stopniowo, a w pobliżu dna wzrastała.

Wśród ławicy nie spodziewaliśmy się spotkać zbyt bogatej fauny ptasiej. Wielkie też było nasze zdumienie, gdy 13-go maja, w dzień Zielonych Świąt, spostrzegliśmy mewę. Poczynając od tego dnia, codzień kilka ptaków lata nad lodowiskami. Są to mewy trójpalczaste (*Larus tridactylus*), mewy niebieskie (*Larus glaucus*), mewy srebrzyste (*Larus argentatus*), nurzynki (*Uria grylle*), niekiedy widzieliśmy dzwońce, a 21-go lipca poświerkę śnieżną. 3-go sierpnia przelatywały nad nami mewy Rossa (*Rodestethia rosea*), Poszczęściło mi się i zabiłem 3 z tych, tak bardzo rzadkich ptaków. Nikt nie wie, zkad przybywają i gdzie odlatują te tajemnicze stworzenia podbiegunowe.

Odkąd znajdujemy się w tych stronach, ciągle spodziewałem się je ujrzeć i oto przybyły w chwili, gdy się najmniej spodziewałem ich wizyty. Ciało zabitych przezemnie mew Rossa było długie na 0,32 m. Miały one grzbiet i skrzydła popielate, brzuch i boki niebieskie, z delikatnym odcieniem pomarańczowym, a około szyi popielatą opaskę. Nieco później upierzenie zmienia się: grzbiet staje się niebieski, brzuch różowy, a naszyjnik czarny.

Teraz, gdy ostatecznie zdecydowałem się dążyć do bieguna, całą moją nadzieję położyłem na psach. Czuwam ciągle nad nimi, obawiając się jakiej choroby lub nieszczęśliwego wypadku, i okazało się, że przeczucia moje były słuszne. 5-go maja jedno ze szczeniąt, Krik, dostaje napadu jakby wściekliczny, biega szczekając i kąsa wszystko, co napotka na drodze. Zamknęliśmy je na czas jakiś, poczem uspokoiło się. Jest to czwarty wypadek tego rodzaju.

Jaka może być przyczyna? Z pewnością nie jest to wodowstręt, prędzej jaki atak epileptyczny. Jakąkolwiek byłaby ta choroba, to jedno jest pewnem, że kilka już z naszych zwierząt podległo jej napadowi. 24-go czerwca Ulenka, jeden z najlepszych naszych psów, stała się ofiarą. Leży wyciągnięta na pokładzie, jakby sparaliżowana, nie mogąc utrzymać się na nogach. Pomieszczamy ją w skrzynce i dajemy dobrą strawę. Po jakimś czasie nastąpiła poprawa, jednakże długo jeszcze nie może odzyskać władzy w nogach. Widocznie jest to zaatakowanie kolumny pacierzowej. 3-go czerwca jedno ze szczeniąt również podlega tej chorobie.

Niekiedy myślę, że psy nie są w stanie odczuć wpływu pięknej pogody. Lód wydaje im się za wilgotny i za ciepły, jakkolwiek temperatura jego nie przewyższa punktu zamarzania.

W lecie, jak i w zimie, świętujemy wszystkie uroczystości z wystawą, na jaką pozwalają nam środki. Święto narodowe 17 maja, rocznicę Konstytucji Norweskiej, obchodzimy wieloma zabawami. Budzimy się przy dźwięku organów; później spożywamy śniadanie, złożone z wędzonego łososia i wołowego ozora. Wszyscy członkowie naszej wyprawy noszą przy ubraniu wstążki; nawet stary Suggen ma ją przy końcu ogona. Na wielkim maszcie wywieszamy chorągiew narodową.

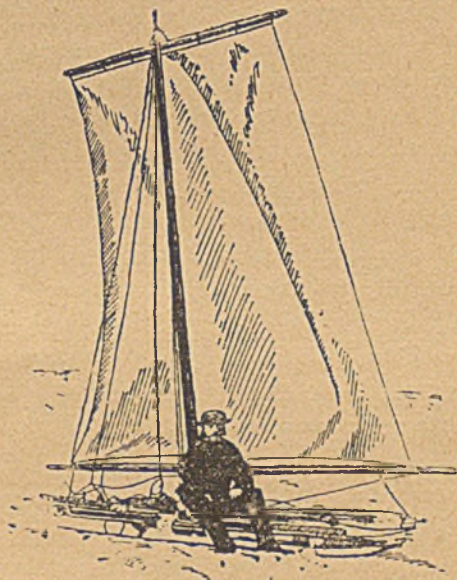
O 11-ej godzinie cała nasza gromada zbiera się na ławicy i tworzy pochód z rozwiniętą banderą. Otwieram go, trzymając w rękach flagę norweską czystą (bez prostokątu o kolorach szwedzkich, oznaczającego połączenie Norwegii ze Szwecją). Za mną

postępuje Sverdrup, potrząsając wążiuchną wstęgą „Frama“. Za sankami, prowadzonymi przez Mogstad'a, postępuje orkiestra, sformowana z Johansen'a z akordeonem. Za nim idą Jacobsen i Henryksen, uzbrojeni w fuzye i harpuny; później Amundsen i Nordhal niosą wielkie chorągwie czerwone. W końcu szedł doktor z banderą opozycji, domagającą utwierdzenia normalnego dnia roboczego. Składała się ona z wełnianej „jersey'i“ z wyhaftowanymi na niej literami N. A. (Normal arbeids dag—normalny dzień roboczy). Utkwiony na długiej tyczce znak ten sprawiał wrażenie imponujące. Pochód zamykał kucharz Juell z rondlami na plecach i Hansen i Johansen, niosący wielką tarczę z blachy, z namalowaną na niej czerwoną wstęgą i literami Al. St. (Almindelig Stemmeret, co po norwesku znaczyło: głosowanie powszechne). Za pochodem postępowały psy, jak gdyby nigdy nic innego nie czyniły w życiu. Przy dźwiękach marsza, skomponowanego specjalnie na tę uroczystość, pochód dwa razy okrążył okręt i skierował się ku wielkiemu pagórkowi z lodu, gdzie został odfotografowany. Po ukończeniu tego wznieśliśmy głośne hurra na cześć „Frama“, który nas tak daleko poniósł na północ i który, o czym nie wątpiliśmy, zaprowadzi nas z powrotem do Norwegii zdrowych i całych. W chwili, gdy wstępowaliśmy na pokład, nasz fotograf zwrócił się do nas z przemową, w której objaśnił dopiero co ukończoną uroczystość. Na jego przemowę odpowiedzieliśmy sześciu strzałami, które bardzo przeraziły nasze psy. Po manifestacji udaliśmy się na korytarz, przystrojony chorągiewkami. Zachwycający walc rozpoczął tę część uroczy-



„Fram“ w ławicy lodowej.

stości, poczem siedliśmy do uczyty przy dźwiękach muzyki, przygrywającej między każdym daniem. Wieczorem Mogstad grał na skrzypcach. Jednym słowem, dzień 17-go maja był nadzwyczaj udany, zwłaszcza, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że znajdowaliśmy się pod 81° szer. pół.



Sanki żaglowe.

28 maja. Mamy obecnie piękny miesiąc maj. Temperatura kilkakrotnie podnosiła się nad 0. Przechadzamy się z tem rozkosznem złudzeniem, że jesteśmy w kraju. Bardzo rzadko termometr spada niżej zera. Natomiast podnoszą się gęste mgły letnie.

Niebo, pokryte jasnymi obłokami, sprawia wrażenie nieba południowego. Na pokładzie czuć także podniesienie się temperatury; nie potrzebujemy opalać korytarza, a lód i szron, pokrywające ściany magazynu, zaczynają topnieć.

9 czerwca. Przeniósłem moją pracownię do tylnej części okrętu. Siedząc przy oknie, w potokach jasnego światła, czuję, że żyję na świecie, nie zaś w jaskini, oświetlonej lampą. Mam zamiar pozostać tu, dopóki temperatura się nie zniży; pomieszczenie to jest tak przyjemne, tak pełne spokoju! Odczuwam wrażenie lata; mogę spacerować po słońcu i marzyć na pokładzie, pałac fajkę, błędząc oczyma po niezmiernych białych przestrzeniach. Śnieg wszędzie już stał, a na powierzchni ławicy ukazują się wodne plamy. Dość jest wykopać dziurę w lodzie, aby ukazała się woda. Pod wpływem słońca cząsteczki morskiej soli topią lodowatą powłokę, skutkiem czego powiększa się ilość wody, nasyconej solą, która może zamarznąć przy temperaturze daleko niższej od tej, jaka obecnie panuje.

Temperatura lodu podniosła się znacznie. Na głębokości 1,2 m. jest równą $-3,8^{\circ}$, a na głębokości 1,6 m. = $-3,1^{\circ}$.

10 czerwca. Z wyjątkiem doktora, nikt z nas nie cierpi na oczy. Jest to wypadek bardzo rzadki w rocznikach północnych wypraw, więc zasługuje na to, aby go zanotować. Pięć dni temu, po zabawie w piłkę na lodzie, doktor został dotknięty tem cierpieniem. Przez pewien czas oczy jego wylewały potoki łez. Po zastosowaniu środków ochronnych przyszedł znów do zdrowia. W ciągu lata, na skutek

kilku innych łagodniejszych wypadków chorób ocznych, które wynikły z nieostrożności pacjentów, zalecono im wychodzić na dwór tylko w konserwach.

11 czerwca. Dziś zrobiłem przyjemne odkrycie: zdawało mi się, że napocząłem ostatnie pudełko cygar. W tej myśli wyrachowałem, że paląc jedno na dzień, wyczerpię mój zapas za miesiąc; tymczasem w kuferku znalazłem nowe zapasy. Odkrycie to pozwoli mi zabijać czas jeszcze przez kilka miesięcy.

Gdzie będziemy, gdy się cygara wyczerpią? Sztuka zabijania czasu nigdy nie przychodziła mi do głowy. Dotychczas żałowałem zawsze szybkości, z jaką upływał. Teraz, na nieszczęście, wlecze się bardzo powoli. W wigilię św. Jana chcieliśmy urządzić sobótkę, lecz czas jest tak szkaradny, że prawdopodobnie będziemy musieli odmówić sobie tej przyjemności.

23 czerwca. Dmie wiatr z północy, pędząc gęste płaty śniegu. Jest bardzo smutno i posepnie. Ciągłe płyniemy ku południowi. Przez 5 dni straciliśmy 9 mil. Widywałem różne wigilie św. Jana i to pod rozmaitemi szerokościami, ale jeszcze nigdy tak smutnej, jak obecna. Jesteśmy tak daleko od wszystkich naszych. Myślę o radości, jaka panuje dokoła ognisk w kraju rodzinnym. Słyszę dźwięki skrzypców, wybuchy śmiechu i odgłosy wystrzałów, powtarzanych przez echo. A tu rozciąga się nieskończona śnieżna pustynia, spowita we mgły i nawiedzana przez ostre wiatry. Minęło już lato i znów zbliża się długa noc zimowa. Tego rana zajęty by-

lem określanie zawartości soli w próbce wody, gdy nagle przyszedł Mogstad i oznajmił mi o pojawieniu się niedźwiedzia w okolicach. Towarzysze, pracujący nad wykopaniem piwnicy dla pomieszczenia mięsa koło wiekiego pagórka lodowego, dostrzegli świeże ślady. Nadziewam „ski“ i puszczam się w pogoń za zwierzyną. Tymczasem miękki śnieg nie może unieść mego ciężaru. Za każdym razem łyżwy zapadają się. Niedźwiedź przyszedł z zachodu i obejrzawszy prowadzone przez nas roboty okrążył je i udał się na wschód. Starannie przejrzał wszystkie otwory w lodzie, w nadziei znalezienia żywności i wszędzie rozgrzebywał śnieg; potem zbadał sąsiednie łodzie, przypuszczając, że znajdzie fokę, i w końcu pobiegł przez bryły lodowe, nie zwracając uwagi na pokrywający je roztopiony śnieg i wodę. Gdyby stan ławicy był dogodniejszym dla pogoni, niewątpliwie byłbym go dopędził.

Widok jest niestychanie smutny: cały szary i biały. Żadnego cienia, nic, oprócz niejasnych zarysów, rozplywających się we mgle i w śniegu. Wszystko znajduje się w stanie zupełnego rozkładu; za każdym stąpieniem lód ugina się pod nogami. Jest to grunt bardzo niedogodny dla łyżwiarza, puszczającego się w pogoń za niedźwiedziem.

24 czerwca. Dzisiaj przypada rocznica naszego wyjazdu z Norwegii. Wieje wiatr północny, a my płyniemy wciąż ku południowi. Od czasu, gdy opuściliśmy przystań w Chrystyanii, upłynął długi rok. W tym okresie wykonaliśmy wielką część podjętego zadania, chociaż nie doszliśmy tak daleko na północ, jak miałem nadzieję.

Siedząc w oknie, patrzę na tumany śniegu. Dziwny dzień Ś-go Jana. Proszę nie przypuszczać, że zostałem znużony jednostajnością śniegu i lodu. Nie wzdycham za zielonością lasów; przeciwnie, całymi godzinami marzę o nowych podróżach wśród lodowisk, gdy obecna zostanie ukończoną. Znam już rezultaty dotychczas otrzymane, a poznam te, które osiągniemy później. Tego wystarczy do tworzenia planów na przyszłość.

11 lipca. Znajdujemy się pod $81^{\circ} 18'8''$ szerokości północnej. Znowu dmie wiatr południowy. A więc jeszcze raz cofanie się nasze zostało powstrzymane. W tej chwili prawie pożądanego powrotu długiej nocy podbiegunowej z jej czarodziejskim światem gwiazd, z fantastycznymi zorzami północnymi i z jasnym księżycem, zwolna posuwającym się po niebie, wśród milczenia uśpionej natury.

Ten dzień bez końca, z ciągłym ruchem, zaczyna mnie męczyć. Życie jest wiecznym kłopotem. Dnie następują za dniami, tygodnie za tygodniami i nigdy ani trudy, ani myśli nie zatrzymują się. Bardzo często opuszczamy pracę dopiero po północy. I zawsze to wieczne oczekiwanie i dręczące uczucie — pustki.

18 lipca. Urządzamy wycieczkę z Blessingiem, celem zebrania próbek „śniegu i lodu brunatnego“¹⁾, jak również wodorostów i diatomeów rosnących,

¹⁾ Kurz, który daje się spostrzegać latem na wszystkich prawie lodowiskach, pochodzi z górnych warstw atmosfery. Prawdopodobnie spada on na powierzchnię ziemi razem ze śniegiem.

w zbiornikach wody. Powierzchnia wszystkich prawie brył lodowych jest zabarwioną na kolor brązowy, wskutek osadzenia się na niej drobnutkich cząsteczek mineralnych, zmieszanych z diatomeami i innymi organizmami, podobnymi do tych, jakie zebrałem na brzegach Grenlandyi. Musimy ciągnąć dalej poszukiwania i przekonać się, czy w istocie ten brązowy osad składa się przeważnie z części mineralnych i czy on nie pochodzi z pobliskich łądów.

Wszystkie kanały, nawet najmniejsze, zawierają olbrzymią ilość wodorostów. Na powierzchniach brył lodowych, opiókiwanych wodą morską, daje się również spostrzegać zabarwienie brązowe, pochodzące od obecności wodorostów, zdolnych żyć na lodach. Prócz tego widać także w morzu białe lub ciemno-żółte pęcherzyki utworzone ze skupienia diatomeów i czerwonych organizmów, o bardzo charakterystycznym wyglądzie.

Te zbiorowiska diatomeów, nadzwyczaj obfite w małych kanałach, dają się spostrzegać wszędzie na głębokości mniej więcej jednego metra, mianowicie na granicy, która oddziela warstwę słodkiej wody od leżącej pod nią słonej; widzieliśmy także wodorosty, które pływały na tej samej głębokości, lecz spotykają się one także tuż pod powierzchnią.

W czasie długich dni oddaję się zapamiętałe badaniom mikroskopowym tej flory. Wśród roślin spotykam także drobnoustroje zwierzęce: infusorye, flagellifery, a nawet bakterye. Są to odkrycia z pewnością bardzo ważne. O ileż chętniej jednak wolałbym walczyć z lodami w zwyczajnym pochodzie na północ?

Oczekując tego, przygotowujemy się do wyprawy. Urządzenia nasze mogą zarówno służyć do posuwania się naprzód, jak i do odwrotu, gdyby ten miał stać się kiedyś nieodzownym. Przejrzeliśmy i odnowili wszystkie sanie ręczne, zaczęliśmy budować sześć innych, które miały być ciągnięte przez psy. Jutro rozpoczynamy budowę kajaków ze skóry foczej i z płótna żaglowego. Każda z tych łodzi będzie mogła pomieścić dwóch ludzi; będą długie na 3, szerokie na 0,8, a głębokie na 0,4 metra. Będziemy potrzebowali sześć takich statków. Tym sposobem zaopatrzymy się w środki potrzebne do odwrotu; są chwile, że życzyłbym sobie prawie stanowczej porażki, aby pokazać, jakie posiadamy środki, które umożliwiają nam wyjście z drażniącej beczynności.

Kajaki odpowiadają zupełnie naszym wymaganiom. Nie ważą więcej nad 30,5 kilograma, mogą być bez trudności ogrzewane i są w stanie znieść na morzu dwóch ludzi z żywnością na 100 dni.

5 sierpnia. Znajdujemy się pod $82^{\circ} 7' 3''$. Jest prześliczny dzień letni. Wyciągnięty na pokładzie wyobrażam sobie, że jestem z powrotem w kraju rodzinnym. Wśród wysokich gór i fiordów wesołe rozkoszne światło umożliwia to złudzenie. I tu, jak tam, obłoki przesuwają się lekko, a połyskująca błękitna kopuła rozciąga się nad nami.

Jest to cudowne zjawisko na niebieskawem tle śniegów i lodów. Temperatura jest tak łagodną, że pomieściliśmy stół do gry na pomoście. W istocie jest to lato.

12 sierpnia. Prześliczny wieczór. Wszystko jest spokojne i milczące. Słychać tylko krople wody, któ-

re spadają z topniejących brył lodowych i lekki szmer śniegu, zsuwającego się z pagórków.

Słońce jest obecnie bardzo nisko nad horyzontem. Otaczają go złotawe obłoki, gasnące powoli na tle nieba.

21 sierpnia. Jesteśmy pod $84^{\circ} 4' 2''$; pozostajemy od jakiegoś czasu prawie bez ruchu: raz prąd unosi nas ku północy, to znów odprowadza na południe. Niemniej jestem najmocniej przekonany, że podróż nasza nie powinna trwać dłużej nad 3 zimowe i 4 letnie pory. Od dziś za dwa lata powinniśmy być z powrotem ¹⁾ w domu; na przyszłą zimą z pewnością zostaniemy pociągnięci na północ, a zima zbliża się szybkim krokiem.

Zdaje się, że lato znów się skończyło. Temperatura waha się między -4° i -6° . Wszystkie jeziora i kanały pokryły się warstwą lodu dostatecznie grubą, aby móżdź utrzymać ciężar człowieka. Rano i po południu urządzam wycieczki na łyżwach. Powierzchnia ławicy doskonale nadaje się do tego; pokrywa ją miękki, świeży śnieg. Niedawno otworzyło się w pobliżu okrętu kilka kanałów. Na kilku z tych otworów, które poddane były lekkiemu naciśkowi, lód bardzo nieprzyjemnie ugina się pod łyżwami. Udaje mi się przebyć je bez wypadku, podczas gdy pod psami ta cienka pokrywa załamala się kilkakrotnie. Jeżeli ławica pozostanie taką, jaką jest obecnie, będzie doskonałym gruntem dla wycieczek na „ski“.

¹⁾ Przepowiednia ta ziściła się zupełnie. W dwa lata później „Fram“ podpływał 22 sierpnia do brzegów Norwegii.

27 sierpnia. Blessing, po odbyciu warty nocnej, udawał się do swojej kajuty, gdy nagle w małej odległości od okrętu dojrzał coś białego, poruszającego się na śniegu. W tym samym czasie Johansen wstępował na pokład, aby zastąpić doktora; obydwaj więc zaczęli czuwać nad przystępem do okrętu. Wkrótce okazało się dowodnie, że biała ta ruchoma plama była niedźwiedziem. Pochwycili więc fuzye i pomieścili się na przodzie okrętu, aby śledzić ruchy zwierzęcia. Zbliżało się ono powoli i ostrożnie, wężąc z odległości wielki czarny przedmiot, który znajdował się przed nim. Wiatrak obracał się szybko, lecz jego ruchy nie przstraszały niedźwiedzia, przeciwnie, zdawały się go przyciągać.

Nareszcie niedźwiedź zbliżył się do brzegu szczeliny, która znajdowała się z przodu okrętu. Zdarza się więc doskonała okazyja. Blessing i Johansen strzelają, a zwierzę pada martwy. Zyskaliśmy dostateczne zapasy świeżego mięsa. Jest to pierwszy niedźwiedź, zabity w tym roku.

Dzisiaj mamy istną zimę. Przez cały dzień unoszą się tumany śniegu.

29 sierpnia. Pada gęsty śnieg. Śliczny dzień sierpniowy! Ale cóż to znaczy: wiatr pędzi nas na północ, a to jest dla nas najważniejszem. Wczoraj znów powróciliśmy pod $80^{\circ} 53'$. Dziś wieczorem byłem zajęty budową mego kajaka z bambusu, gdy Peterson przyszedł mi pomagać w robocie. Pracując, rozmawialiśmy o „Framie“ i jego niezwykle trwałej budowie. „Każdy inny okręt byłby oddawna rozbity i nigdy nie doznawałbym żadnej obawy, mówił Peterson, gdyby okoliczności zmusiły nas opuścić

„Fram“ i powierzyć się kajakom, które wydają mi się doskonałymi statkami. Żadna inna wyprawa nie była tak dobrze zaopatrzoną we wszystkie możliwe środki ochronne, jak nasza“. Niemniej wolał powrócić do Norwegii na „Framie“. Następnie mówiliśmy o powrocie i o tem, co będziemy czynili, gdy wrócimy do kraju.

— Pan—rzekł Peterson—napewno popłynie do bieguna południowego.

— A pan, czy znowu podejmie się dawnego rzemiosła?

— Tak, lecz przedtem odpocznę kilka tygodni. Po takiej podróży będę tego potrzebował, zanim wezmę się do pracy.

ROZDZIAŁ IV.

Druga Jesień na ławicy.

Przeszło lato; zaczynamy drugie zimowanie.

Przyzwyczailiśmy się obecnie do zmienności prądów i czas płynie nam szybciej. Ja zajęty jestem tworzeniem nowych projektów.

W czasie lata poczyniliśmy rozmaite przygotowania na wypadek, gdyby odwrót przez ławicę stał się koniecznym; zbudowaliśmy kajaki, przyprowadziliśmy do porządku sanie i przygotowaliśmy zapasy. W tym samym czasie zająłem się przyszłą wycieczką na północ; w tym celu zbudowałem kajak

z drzewa bambusowego. Nikomu nie wspomniałem o tym zamiarze ani słowa, prócz Sverdrupa. Przedtem, nim rozgłoszę mój projekt, muszę poznać kierunek prądów podczas zimy. Gdy jestem zatopiony w myślach, planach, wszyscy inni prowadzą zwykły tryb życia na pokładzie.

6 września. Jesteśmy pod $81^{\circ} 13' 7''$. Dziś przypada rocznica mego ślubu. Pięć lat upłynęło już od tej chwili. Zeszłego roku w tym czasie był dzień wielkiego tryumfu. Odnieśliśmy zwycięstwo nad lodami w pobliżu wyspy Taïmyr. Dzisiaj przeciwnie, nie mamy powodu czuć się zadowolonymi. Prąd nie uniósł nas tak daleko na północ, jak tego życzyliśmy sobie, i podniósł się wiatr północno-zachodni, który znów odepchnął nas na południe. Zdaje się jednak, że przyszłość powinna nam oszczędzić tych przykrych oczekiwań i zniechęceń, jakich doznawaliśmy podczas ubiegłej zimy.

Obchodzę rocznicę mego ślubu, urządzając na zimę pracownię. Pomieściłem w niej piecyk naftowy; później otoczyłem go ścianami i dachem ze śniegu. Dzięki temu, nawet podczas najtęższych mrozów będę miał łagodną temperaturę. Jeżeli uda mi się korzystać z tego schronienia w ciągu zimy, będę mógł pracować więcej, aniżeli na spodzie okrętu.

9 września. Znajdujemy się pod $81^{\circ} 4'$. Od kilku dni słońce zachodzi o 10 godzinie wieczorem, pozostawiając za sobą olbrzymią płomienistą aureolę, która wznosi się ponad wiecznie białą pustynią.

Po obiedzie urządzamy wycieczkę na „ski“. Wiele rowów pokryło się już lodem, a kry noszą ślady nacisków. Spotykam przecież kanał, szeroki

miejscami na 350—450 m., który ginie na północy i na południu. Łód jest doskonałą dla wycieczek na łyżwach. Po powierzchni jego „ski“ mkną szybko, bez najmniejszego z naszej strony wysiłku, zwłaszcza jeżeli idziemy z wiatrem.

12 września. Z lewego boku okrętu zbudowaliśmy psiarnię. Składa się ona z porządných chatek lodowych, rozdzielonych na przedziały, z których każdy może pomieścić 4 psy. Tylko maleńkie szczenięta Kwik pozostały na pokładzie, gdzie rozweselają nas swemi figlami. Prowadzimy nadal życie regularne, tak jednostajne, jak otaczająca nas ławica.

Nastąpił dzień porównania dnia z nocą. Te ostatnie są bardzo ciemne, a słońce w południe nie podnosi się wyżej jak 9° nad widnokretem. Cały czas spędzam w pracowni, często miewam złudzenie, że w domu swym, w gabinecie. Gdyby nie bolesne rozłączenie z ukochanymi istotami, nigdzie życie nie byłoby przyjemniejszym, jak wśród tej nieskończonej spokojnej pustyni. Często zapominam, że znajduję się wśród lodowisk. Wieczorem, gdy pogrążony w rozmyślaniu i studyach, usłyszę nagle, że psy szczekają, wstaję, pytając się siebie, co za przyjaciel odwiedza mnie o tej porze. I wtedy zniecka powraca mi uczucie rzeczywistości; przypominam sobie, że nie jestem w domu ojczystym, lecz wśród lodów podbiegunowych, na początku drugiego zimowania w tym martwym pasie ziemi.

23 września. Dzisiaj dokładnie skończył się rok od chwili, gdy zostaliśmy uwięzieni w ławicy. Okoliczność ta daje powód Hansenowi do rozpoczęcia mapy naszej podróży. Droga, którą przepłynęliśmy

dotychczas, zaprawdę nie jest wielką, lecz kierunek, w jakim posuwaliśmy się, jest najdokładniej ten sam, jaki przepowiadałem.

Od 22 września 1893 roku, to jest dnia, gdy zostaliśmy uwięzieni między lodami, do 22 września 1894 r., posunęliśmy się na północ 189 mil. Pomiedzy punktem najwięcej południowym, do którego zostaliśmy odsunięci w czasie okresu cofania się 7 listopada 1893 r., a punktem położonym najdalej na północy (16 lipca 1894), różnica wynosi 305 mil. Posunęliśmy się zatem o 4° szerokości, od $77^{\circ} 43'$ do $81^{\circ} 53'$. Średni kierunek naszej drogi był N. 36° O. Jest więc bardziej północnym, aniżeli kierunek „Jeanetty.“ Gdybyśmy i dalej byli pchani w tym samym kierunku, doszlibyśmy w końcu do wysp, leżących na północo-wschodzie od Szpicbergu, dosięgnąwszy przytem najwyższej szerokości: 84° , mniej więcej na 75° długości wschodniej, i znaleźlibyśmy się na N.N.E. od ziemi Franciszka-Józefa. Od miejsca, gdzie się obecnie znajdujemy, do ziemi położonej na północo-wschodzie, odległość drogą tą wynosi 827 mil. Przyjmując średnią szybkość posuwania się na 189 mil, potrzebowalibyśmy 4 lat, aby odbyć tę drogę. Jeżeli jednak, jak mam nadzieję, szybkość prądu wynosi 305 mil rocznie, przybędziemy tam po upływie dwóch lat i 7 miesięcy.

Tak prędkie posuwanie się jest bardzo prawdopodobne. Nie mając na południu wolnej przestrzeni morza, a na północy zbitych mas lodowych, nie będziemy zmuszeni cofać się wstecz, jak to miało miejsce ostatniej jesieni.

Kierunek prądów w lecie naprowadza mnie na

myśl, że skończyły się już ustawiczne zmiany w postępowaniu naprzód i cofaniu się. Droga, którą płynie „Fram,” jest więcej północną, aniżeli droga „Jeanety,” a po tamtej stronie ziemi Franciszka-Józefa lód musi być odpychany przez łańcuch wysp ku północy. Jestem więc tego zdania, że dojdziemy do szerokości jeszcze bardziej północnej, aniżeli wskazuje kierunek, w jakim obecnie płyniemy. Mam nadzieję dojścia aż do 85°.

27 września. Zaczynając od dziś, wszyscy musimy ślizgać się 2 godziny dziennie na łyżwach, mianowicie od 11-ej godziny do pierwszej.

Wielu z nas nie umie jeździć na „ski” i w razie konieczności odwrotu, ich niezręczność mogłaby narazić wszystkich na poważne niebezpieczeństwa. W kilka dni później uczymy się ciągnąć sanie. Do ćwiczeń tych używamy sanek, naładowanych 120 kilogramami balastu. Amundsen, któremu z początku wydawało się to zabawką, wkrótce zatrzymuje się wycieńczony i wyznaje kolegom, że gdyby musiał przez dłuższy czas ciągnąć podobny ciężar, wolałby od razu położyć się na śniegu i oczekiwać śmierci. Trzy psy, przeciwnie, zaprzężone do takich sani, ciągną je zupełnie lekko.

4 października. Ławica tworzy doskonałą podstawę do chodzenia i tylko w kilku miejscach pagórki i rowy czynią ją niedostępną.

W przeddzień drugiego zimowania, najdłuższego i najzimniejszego ze wszystkich, na jakie były wystawione wyprawy podbiegunowe, stan nasz moralny jest doskonały. Z dnia na dzień zmniejsza się ilość dziennego światła, a wkrótce zniknie ono

zupelnie. Odwaga nasza jednakże nie zmniejsza się. Dobry humor jest teraz więcej stały. Nie odczuwamy ciągłych wahań się pomiędzy zniechęceniem i nadzieją, jakim podlegaliśmy dawniej, co narażało nas na tak ciężkie próby. To obecne usposobienie moralne zawdzięczamy przyzwyczajeniu do życia, jakie prowadzimy. Dążymy do celu powoli, ale z pewnością. A przyszła zima zapowiada się daleko lepiej od ubiegłej. Pracownia nasza, pomieszczona na przodzie okrętu, jest ciepła i wesoła. Piecyk, który sam wystawilem, rozpościera w pokoju dużo ciepła. Niekiedy temperatura jest tak wysoka, że pocę się i muszę otwierać okna dla wpuszczenia świeżego powietrza.

Przypuściwszy nawet długie bardzo trwanie naszej wyprawy, nie potrzebujemy obawiać się, że nam zabraknie materiału do oświetlenia i opału. Zapasy nafty wystarczą do oświetlania przez 10 lat, jeżeli przypuścimy nawet, że lampy palą się przez 300 dni w roku. Z drugiej strony mamy jeszcze 100 ton węgla. Przy takim zaopatrzeniu się nie potrzebujemy oszczędzać paliwa i w czasie zimy będziemy mogli dowoli opalać pokoje mieszkalne. W końcu, dla lepszej ochrony od zimna, poleciłem rozpostrzeć nad pokładem aż do mostku namiot. Tył okrętu pozostał niezastłoniętym, abyśmy mogli rozpatrywać się w okolicy, otaczającej statek.

10 października. Dziś kończę 33 rok. Na cześć moją towarzysze urządzą wielką ucztę. Korytarz i cały okręt są ubrane flagami. Rano, w czasie wielkiego mrozu, urządzamy wycieczkę na „ski.” Wieczorem termometr spada do 31° poniżej zera. Je-

szcze nigdy w rocznicę mych urodzin nie było tak zimno. Kucharz, jak zwykle w podobnych razach, przygotował prawdziwy bankiet.

16 października. Od 4 dni dmie okropny wicher. Śnieg, rozrzucony przez wiatr, zasłania niebo gęstymi tumanami. Mimo to urządzamy wycieczkę na „ski.“ W południe pokazuje się nad horyzontem słońce o kształcie podłużnej bańki czerwonego koloru. Ostatni raz widzimy je dziś.

Płyniemy szybko ku północy. 14-go znajdujemy się pod $81^{\circ} 32'$, 17-go pod $81^{\circ} 47'$, 21-go pod 82° szer. półn. i $114^{\circ} 9'$ dług. wsch.

Przejdźcie 82° stopnia świętujemy uroczystością, którą ogłaszają wierszowane afisze, porozwieszane w korytarzu. Po wieczery urządzamy koncert. Pośród wykonawcami odznacza się Bentzen. Jego najnowsze ćwiczenia z korbą od sondy dostarczyły mu nieocenionego doświadczenia przy obracaniu z wielkim wdziękiem rączki u katarynki. Ogarnia nas taki zachwyty, że puszczamy się w tany, podczas gdy inni grają w karty. Wśród tego krążą owoce i napoje ochładzające. Tym sposobem, zawsze weseli, dążymy do celu. Jesteśmy teraz na połowie drogi między Nowo-Syberyjskimi wyspami a ziemią Franciszka Józefa.

Dnie upływają za dniami, nie przynosząc żadnej zmiany w naszym życiu. Dla rozrywki obserwujemy przepyszne światła zorzy północnej. 4 listopada zapisuję w mym dzienniku szczęśliwe polowanie na niedźwiedzia. Rano wyszedłem na spacer i wracając, spotkałem Sverdrupa, Johansena, Mogstada i Henryksena, biegnących z fuzyami w rękę.



Obserwowanie zaćmienia słońca.

W chwilę potem usłyszałem salwę wystrzałów, a później pojedyncze, lecz bardzo częste strzelanie. Co może oznaczać ten ogień? Posuwam się powoli i ktoś opisze mi radość, gdy ujrzałem leżące na ziemi trzy niedźwiedzie: samicę i dwoje małych.

Temperatura jest bardzo niska. 22-go października rtęć w termometrze spada do -36° . Przy takim zimnie niedobrze jest dotykać się żelaza. W położeniu tem znalazł się jeden z naszych psów, któremu się zachciało polizać żelazny pierścień. Język jego przylgnął do żelaza. Szczęściem, w czasie wypadku, Bentzes był na pomoście. Schwycił zwierzę za szyję, aby nie wyrwało sobie języka w czasie skoków, wykonywanych dla oswobodzenia się, i rozgrzał żelazo, wzięwszy je w grube rękawice. Tym sposobem zdołał powrócić wolność zwierzęciu.

13 listopada. Termometr wskazuje -39° . W dzień powstaje nacisk w rozmaitych częściach łąwicy. Gwałtowny huk jego oznajmia bardzo niską temperaturę lodu. Jest to łoskot niezwyčajny, który mógłby wydawać się nadnaturalnym, gdyby nie była wiadoma jego przyczyna.

W czasie przepysznej pełni księżycy urządzamy wycieczkę na „ski.“ Istotnie życie nasze wcale nie jest powolnem a ciąglem cierpieniem, jak to zapewne przypuszczają pozostali w kraju. Czyż można to nazwać bolesną próbą, gdy możemy mknać, jak strzały, po lodzie bez końca, wśród przyjemnego mrozu i przy blasku nieskończonej ilości gwiazd. Wokoło rozciąga się łąwica, posrebrzana światłem księżycowem, plamami cieniów, rzucanych przez lo-

dowe pagórki, a tam w dali jasny pas wskazuje, gdzie kończy się widnokrąg. Bardzo nisko, na południu, widać różowe światło, wyżej przechodzące w żółte, jeszcze wyżej w zielone i w końcu zlewające się z barwą niebieskiego sklepienia. Nieopisanie piękna harmonia, którą odtworzyćby mogła tylko muzyka.

16 listopada. W czasie jednej z wycieczek na łyżwach zwierzyłem się Swerdrupowi z projektów, dotyczących się mojej wyprawy w stronę bieguna. Wieczorem dokładniej wyłuszczam mu plany, które uzyskują jego pochwałę. Zamiar ten musimy doprowadzić do skutku nawet w takim razie, gdybyśmy nie dopłynęli do 85° szer. półn. Jest to jedyny sposób dojścia do krain, których niepodobna osiągnąć inaczej. W razie gdybyśmy nie mogli dostać się do bieguna, powrócimy napowrót. Nie widzę potrzeby powtarzać, że nie jest celem naszej wyprawy dojść do tego punktu matematycznego, lecz zbadać nieznaną dotychczas okolice oceanu Północnego. Spodziewam się, że nie spotka mnie zarzut, że mógłbym równie dobrze dokonywać swoich obserwacji na „Framie“, jak podczas owej wycieczki na północ.

Po pierwsze, odjazd mój nie zatrzyma zwykłego biegu prac naukowych na pokładzie. Po drugie, spostrzeżenia, zebrane w czasie projektowanej przeze mnie wycieczki, dopełnię temi, które będą dokonane na okręcie, i w ten sposób przyniosę nauce prawdziwą korzyść.

I dlatego zamiar mój postanowiłem doprowadzić do skutku. Gdy zdecydowałem się na to, powstało ważne pytanie, kiedy mamy się puścić w dro-

gę. W każdym razie na wiosnę, lecz czy na następną, czy też w 1896 r.? Przypuśćmy, że w przyszłym roku znajdziemy się pod 83° szer. półn. i 110 dług. wsch., w takim razie będziemy musieli odbyć wycieczkę, bo gdybyśmy czekali jeszcze rok, moglibyśmy ominąć punkt, z którego przedsięwzięcie to może być podjęte przy najdogodniejszych warunkach.

Od miejsca, z którego, jak przypuszczam, puścimy się w drogę, do przylądka Fligely, leżącego na najbardziej północnej wyspie ziemi Franciszka-Józefa, odległość wynosi 400 mil, jest zatem niewiele większą od przestrzeni, jaką przebyłem po lodach w czasie mej podróży przez Grenlandyę. Taką podróż możemy odbyć bez wielkich trudności nawet w tym wypadku, gdyby ławica w czasie naszego zbliżania się do brzegów uległa uszkodzeniu. Gdy raz znajdziemy się na lądzie, polowanie dostarczy żywności. Do powyższych 400 mil musimy dodać drogę, jaką przebieżemy w kierunku bieguna. Gdziekolwiek doszlibyśmy przy pomocy psów, zawsze dokonamy odwrotu.

Należy następnie zbadać warunki podróży. Wycieczka, złożona z dwóch ludzi i z 28 psów, będzie musiała wziąć z sobą ładunek 1,050 kil. Od 83° do bieguna odległość wynosi 777 kilometrów. Psy będą mogły posuwać się z szybkością 15 kilometrów dziennie. Na każdego z nich, w pierwszych dniach wycieczki, przypadnie ciężar 37,5 kil. Niezbędem jest, aby ławica przedstawiała powierzchnię jednolitą, jak lód, który nas otacza, nie mamy zaś powodu przypuszczać, że będzie inaczej. W 50 dni po opu-

szczeniu „Frama,” będziemy zbliżali się do bieguna. W 65 dni przebiegliśmy po lodach w Grenlandyi 345 mil, osiągnąwszy szybkość 2,700 metrów dziennie. Gdy ukończymy pochód ku północy, ładunek nasz, wskutek spotrzebowania żywności, zmniejszy się do 250 kil. ciężaru, nic nieznaczącego dla 28 psów. W tych warunkach powrót musi być bardzo szybki; przypuścmy nawet, że będzie trwał tak długo, jak posuwanie się na północ, t. j. 50 dni. Stosownie do warunków, przybędziemy albo do Siedmiu Wysp, Szpicbergu lub do przylądka Fligely na ziemi Franciszka Józefa. Przypuścmy, żeśmy obrali tę ostatnią drogę, 1 marca opuścimy „Fram,” a 20 kwietnia będziemy przy biegunie. W tym czasie pozostanie nam 100 kil. zapasów, które powinny wystarczyć na 50 dni, lecz nie będziemy mieli żywności dla psów. Będziemy zatem zmuszeni zabijać te, które nas ciągną, dla wyżywienia innych lub nas samych, gdybyśmy woleli ustąpić im owe zapasy; 23 psy dostarczą nam żywności na 41 dni, pozostanie zaś pięć z nich jako siła pociągowa. W tym czasie, to jest około 1-go czerwca, będziemy w okolicach przylądka Fligely. Pozostanie nam wtedy 5 psów i żywności na 9 dni. Pomimo to położenie nasze nie będzie krytycznem. O tej porze powinno być dużo zwierzyny w tamtych okolicach.

Gdy raz dojdziemy do przylądka Fligely, musimy zrobić wybór między dwiema drogami: drogą do Szpicbergu—a jeśli warunki będą pomyślne, wybiorę ją napewno — i drogą do ziemi Franciszka-Józefa.

Rozważmy teraz wszystkie wypadki, mogące zatrzymać nasz pochód.

Bardziej na północ ławica może być częściej nawiedzana przez niebezpieczeństwa, aniżeli w tych okolicach, gdzie się znajdujemy obecnie. Nie jest to jednakże prawdopodobnem, chybaży w tym kierunku istniał jakiś ład. W każdym razie, gdyby nawet tak było, musimy zastosować się do okoliczności. Sądząc jednak z głębokości oceanu i z kierunku, w jakim zbacza ławica, trudno przypuścić istnienie na północ od nas wyspy większych rozmiarów.

Może nam zabraknąć psów, z pewnością jednakże nie wszystkich w jednym czasie. Przypuściwszy jednakże stratę nawet całej naszej psiarni, mogliśmy sami ciągnąć bagaże.

Straszmem w istocie byłoby nasze położenie, gdyby nas dotknął szkorbut; nie bacząc na wyśmienity stan zdrowia naszej załogi, wypadek podobny może się przytrafić. Zdaje się jednakże, że nie mamy potrzeby obawiać się podobnego nieszczęścia. Wybraliśmy dla naszej wyprawy możliwie pożywne zapasy; dlatego przykro mi pomyśleć, że sprowadziłyby one wybuch tej straszliwej choroby.

Pozostaje jeszcze jeden punkt do rozpatrzenia, mianowicie, czy odjazd nasz nie sprowadzi zgubnych skutków dla tych, którzy pozostaną na okręcie. Przypuszczam jednak, że nieobecność dwóch ludzi nie osłabi załogi. Jedenastu ludzi wystarcza do kierowania okrętem. Przeciwnie, wielkie znaczenie będzie miała nieobecność psów na statku, z wyjątkiem siedmiu szczeniąt Kwik. Lecz towar:ysze moi zachowują przecież więcej niż dostateczną ilość sani i wielkie

zapasy na wypadek odwrotu. Przypuściwszy nawet, że zdarzyłby się „Framowi“ nieszczęśliwy wypadek, nie można przypuścić, aby mając do rozporządzenia podobne środki, nie zdołali dotrzeć do ziemi Franciszka-Józefa lub do Szpicbergu. Katastrofa, gdyby się nawet zdarzyła, mogłaby zaskoczyć ich mniej więcej pod 85° na południku, przechodzącym przez ziemię Franciszka-Józefa, a ztamtąd do przyłądka Fligely odległość wynosi 180, a do Siedmiu Wysp 240 mil. Nie mogę przypuścić, aby będąc tak zaopatrzeni, towarzysze nasi nie mogli przebyć tej drogi. „Fram“ napewno przepłynie przez ocean Północny i wejdzie po drugiej stronie bieguna w wolne morze. A zatem nie ma przyczyny, któraby nie pozwalała nam urządzić wyprawy do bieguna, a korzyści naukowe takiego zwiedzenia nieznanych krain prawie zmuszają nas do jej wykonania.

A teraz rodzi się pytanie, kto z nas pójdzie do bieguna? Ja i Sverdrup wypróbowaliśmy już nasze siły w czasie pochodu przez Grenlandyę. Jednakże obydwaj nie możemy pozostawić „Frama.“ Jeden musi zostać, aby odprowadzić go z powrotem, drugi powinien stanąć na czele wyprawy saniami. Nie chcąc narażać Sverdrupa na wykonanie tak trudnego zadania, sam pojedę, a jemu pozostawię troskę o odprowadzenie „Frama“ do Norwegii.

18 listopada. Siedząc przy stole w pracowni, słucham szumu skrzydeł wiatraka i odgłosu kroków Petersa, który zajęty jest karmieniem szczeniąt Kwik, gdy nagle przychodzi mi na myśl, że młyn ten może być bardzo niebezpiecznym dla nich.

W 10 minut później doszło do uszu moich za-

łośne skomlenie, a w tej samej chwili wiatrak zatrzymał się.

Co prędzej wybiegłem na pokład i okazało się, że obawy moje były aż nadto usprawiedliwione. Jeden z psów, pochwycony kołem, kręci się w powietrzu, jęcząc żałośnie.

Jęki jego tak mnie wzruszyły, że w pierwszej chwili chciałem uderzeniem topora przewrócić wiatrak i uwolnić zwierzę.

Z pomocą Mogstada i Bentzena zatrzymałem maszynę i uwolniłem nieszczęśliwe zwierzę. Żyje jeszcze i jakkolwiek został silnie poraniony, zdaje się, że nie poniósł zbyt wielkiej szkody. Zdziwiony, że znów stoi na nogach, zatrzymał się chwilę bez ruchu i przyszedłszy wreszcie do przytomności, uciekł, kulejąc.

19 listopada. — Dziś zrana zwierzyłem się z mych projektów Johansenowi. Mówiłem mu, że wyprawa będzie niebezpieczną, że będzie to gra o życie lub o śmierć. Przed powzięciem ostatecznego postanowienia radziłem mu, aby pomyślał nad tem dzień albo dwa.

Odrzekł mi na to, że nie potrzebuje się namyślać, że postanowienie jego jest już powzięte i że gotów jest iść za mną. Dawno już rozmyślał o tem przedsięwzięciu i zawsze miał chęć uczestniczenia w wyprawie. Odpowiedź jego, niezależnie od tego, czy ją przyjmę dziś lub jutro, nie zmieni się.

20 listopada. — Dziś wyjawilem swe projekty całej załodze. Rzecz naturalna, że wszyscy mieli ochotę towarzyszenia mi. Dla zmniejszenia ich żalu przedstawiłem im całą ważność ich posłannictwa.

Od rana zaczęliśmy robić przygotowania; na-
przód przystąpiliśmy do budowy dwóch kajaków, dłu-
gich 3,7, szerokich pośrodku na 0,7, a głębokich: je-
den na 0,3, drugi na 0,38.

Wiadomo, że te długie statki skórzane mogą
zmieścić jednego tylko człowieka, siedzącego pośro-
dku w otworze zrobionym w pomoście, który zamyka
całe czółno. Aby woda nie dostała się do wnętrza,
żeglarz ubrany jest w kurtkę z foczej skóry, która na
wzór fartucha przystaje do drewnianej obręczy, ota-
czającej otwór. I człowiek w ten sposób stanowi
niejako jedno ciało z łodzią.

Kajak taki może zabrać żywności na trzy mie-
siące dla podróżnika i dla psów. Czółna te będą nam
potrzebne do przepływania kanałów, przerzynających
ławicę, i do odbycia drogi od ziemi Franciszka-Józefa
do Szpicbergu lub do Nowej Ziemi.

Prócz tego poleciłem przygotować sanie spe-
cjalnie do naszej wycieczki; powinny one być lekkie
i trwałe, aby mogły opierać się wszelkim wstrząśnie-
niom, na jakie będą wystawione. Dwoje z tych sani
mają długość taką, jak kajaki, t. j. 3,7 m.

Później bardzo starannie wybieramy zapasy dla
nas i dla psów. Oprócz tego dokładnie sprawdzamy
instrumenty, aby być pewnymi, że odpowiedzą po-
trzebie. Od tego wszystkiego zależy dobry wynik
wyprawy.

Niemniej ważną była kwestya, jakie ubrania za-
brać z sobą. Dla rozstrzygnięcia jej zrobiłem kilka
wycieczek w naszym zwykłym odzieniu z wilczej
skóry. Jakkolwiek temperatura nie przechodziła—37°
do —41°, pocilem się natychmiast, gdy robiłem co-

kolwiek żywsze poruszenia. A zatem widocznie nigdy nie będzie tak zimno, abyśmy byli zmuszeni przywdziewać cieplejsze ubranie. Dlatego weźmiemy cokolwiek lżejsze.

Następnie robimy próby ze sprzętami, które mają nam służyć do obozowania. Rozpinamy jedwabny namiot i zapalamy wewnątrz w piecyku przygotowanym dla wycieczek na saniach. W ciągu półtorej godziny dostarczył nam 3 litry wody wrzącej i 5 litrów wody, powstałej ze stopienia lodu. Temperatura tego ostatniego była -35° . Użyta w tym celu ilość nafty nie przechodziła 100 gr.

Podczas gdy ja z zamiłowaniem oddaję się robieniu prób praktycznych, moi towarzysze zajęci są innemi, nie mniej pożytecznemi robotami. A przytem nie zaniedbujemy badań naukowych. W czasie jesieni Hansen i Johansen pomieścili instrumenty w chatce ze śniegu, gdzie mogą posługiwać się niemi bez rękawiczek i bez względu na wiatr. Wewnątrz temperatura nie jest wcale wysoka: -20° do -25° ; ale nasz astronom i meteorolog nie zdają się tego spostrzegać.

ROZDZIAŁ V.

Druga zima na ławicy.

W pierwszych dniach grudnia. Sverdrup zachorował na katar kiszek, prawdopodobnie wskutek zaziębienia. Jest to pierwszy wypadek choroby na okręcie.

Dnia 12 grudnia. „Fram“ dosięgnął 82° 20' szerokości północnej.

Nigdy jeszcze żaden inny statek nie doszedł tak daleko na północ. Znajdujemy się od bieguna o 833 kilometry, co odpowiada odległości Paryża od Marsylii. Nazajutrz obchodzimy ten tryumf wielką ucztą, lecz jest to dla nas prawdziwem zmartwieniem, że mamy pomiędzy sobą chorego, skazanego na surową dyetę.

Dnia 23 grudnia. Od kilku dni dmie silny wicher południowy. Średnia szybkość jego wynosi 13—14 m. na sekundę. Tumany śniegu zasłaniają niebo i tworzą na pomoście grube warstwy. Prawdziwie zimowy obraz.

Barometr, wskazujący dotychczas 726 m., zaczyna podnosić się powoli. Burza ta zaniósła nas pod 83° stopień, a może i dalej.

Kiedy-niekiedy ławica, która dotychczas znajdowała się w spokoju, zdradza lekkie ruchy. W nocy z 22-go „Fram“ otrzymał gwałtowne uderzenie, a łoskot nacisku słyhać tuż przy okręcie. W 12 godzin później nastąpiło jeszcze gwałtowniejsze wstrząśnienie. W nocy z 23 na 24 łód otworzył się pomiędzy dziurą zrobioną dla sondowania dna i obserwatorium meteorologicznem. Co prędzej zatem musimy ratować instrumenty od możliwej zagłady. Nerwy nasze, przyzwyczajone od dłuższego czasu do spokoju, nieprzyjemnie dotknięte zostały wstrząśnieniami ławicy.

Dnia 27 grudnia. Znów święciliśmy jedno Boże Narodzenie w dali od ojczyzny. Lecz po wielu dniach niepewności zaczynam niby dostrzegać powodzenie i koniec tej długiej czarnej nocy.

Wigilię Bożego Narodzenia obchodziliśmy bardzo okazale. Przy pomocy Blessinga sfabrykowałem wino własnego wyrobu, „Szampańskie z 83° szerokości północnej,“ przeznaczone specjalnie na tę uroczystość.

Nazajutrz znów uczta, później kolacya w połączeniu z wielkim balem, na którym Hansen i ja reprezentowaliśmy piękną a nieobecną na pokładzie połowę rodzaju ludzkiego. Orkiestra, składająca się ze skrzypka Magstada, gra aż do zupełnego wycieńczenia, aby zadowolić zapal tańczących, zwłaszcza zaś Petersena.

W czasie tego wciąż wieje pomyślny wiatr południowy. Prawdopodobnie przeszliśmy już 83° szerokości północnej. Dotychczas tumany śniegu przeszkadzały sprawdzić nam położenie geograficzne, w jakim się znajdujemy. Podczas dnia ukazuje się gwiazda; natychmiast przybiegł Hansen. Jesteśmy obecnie pod 83° 20'. Wiadomość ta powiększa ogólną uciechę.

Dnia 28 grudnia. Wczoraj „Fram“ otrzymał kilka wstrząśnień. Otwór, znajdujący się z lewego boku okrętu, rozszerzył się do rozmiarów szerokiego kanału. Poczynając od 9-ej godziny wieczorem, co godzinę powtarzają się coraz silniejsze uderzenia.

Wstałem, aby dokładniej zbadać przyczyny, gdy przybył Magstad z wiadomością, że na przodzie okrętu utworzył się wielki pagórek lodowy. Wyszliśmy natychmiast na pomost, wzięwszy z sobą latarnie. W odległości 56 kroków od przedniej belki okrętu ujrzelśmy wzdłuż kanału nagromadzenie brył lodowych, około którego wytwarza się straszny nacisk.

Pagórek posuwa się ku nam, podczas gdy bryła, w której jest zamknięty „Fram,” okazuje się nadwyrężoną. Położenie nasze może stać się bardzo niebezpiecznym. Wskutek tego wydałem rozkaz, aby człowiek, stojący na warcie, czuwał uważnie i zawiadomił mnie, jeżeli pagórek będzie się nadal posuwał lub gdy lód zacznie się łamać naokolo okrętu.

Jest prawdopodobnym, że nacisk lodów niezadługo straci siłę; z tą nadzieją idę spać do kajuty.

2 stycznia. Nigdy nie doznawałem tak szczególnych uczuć przy rozpoczęciu Nowego Roku. A faktem będzie on bardzo ważnym w mojem życiu: przyniesie albo tryumf i życie, albo porażkę i śmierć. W tym świecie lodów lata przechodzą bez śladu. Nie domyślamy się nawet, co przynoszą one z sobą ludzkości.

Ostatni dzień roku dał powód do nowej zabawy. O 12-ej Blessing wszedł na korytarz z butelką wódki z Ligne i wznosimy gorące toasty na cześć rozpoczynającego się 1895 r. Sverdrup przemawia do mnie, życząc mnie i Johansenowi powodzenia w oczekującej nas wyprawie, a ja, z kolei, życzę pozostającym na pokładzie szczęśliwego powrotu do Norwegii.

Nowy rok zastał nas na progu krain zupełnie nieznanych. Wiatr, który obecnie szaleje nad masztami, pcha nas w okolice, których nigdy nie dotknęła ludzka stopa. Z pewnością rok 1895 doprowadzi nas do punktu kulminacyjnego w pochodzie na północ, jeżeli zresztą nieoczekiwane jakie zdarzenie nie obali naszych nadziei.

3 stycznia. Przechodzimy dzień pełen śmiertel-

nego niepokoju. Wczoraj robiliśmy plany na przyszłość, dziś mało brakowało do tego, abyśmy się nie znaleźli na ławicy bez dachu nad głową.

O 4-ej zrana lód, wstrząsany już od kilku dni, zaczął się poruszać, jak w konwulsjach. Z początku ruchy jego były dość nieznaczne, lecz o 8-ej zrana, gdy się obudziłem, słychać było ze wszystkich stron straszny łoskot. O 30 kroków od nas, wzdłuż kanału na lewo, wznosi się pagórek z brył lodowych i tam też tworzą się rozpadliny prawie sięgające do statku. Kazałem przenieść na pokład wszystkie przedmioty, mieszczące się na ławicy, zwłaszcza zaś narzędzia naukowe i belki, które służyły nam w lecie do budowy obserwatorium meteorologicznego. Lina od sondowania, pozostawiona w otworze, nie da się ocalić. Po południu, gdy ukończyliśmy powyższe roboty, siła nacisku nagle wzrasta. Pagórek, leżący z lewego boku okrętu, wciąż się zbliża; jednocześnie lód otwiera się, grożąc zagładą przyrzadowi do sondowania. Kilku ludzi biegnie uratować drogocenne narzędzie. Położenie staje się krytycznym. Nagromadzanie brył lodowych szybko się posuwa naprzód; jeżeli dosięgnie nas, nim „Fram“ uwolni się od otaczającej go kry, może nas spotkać nieszczęście.

Po południu poczyniliśmy przygotowania, aby opuścić „Fram“ w razie, gdyby nastąpiła klęska. Sanki, kajaki, i dziesięć naczyń, zawierających 10 litrów nafty, pomieściliśmy na pokładzie; 25 skrzynek z sucharami dla psów, 19 z chlebem i cztery bańki z naftą ustawiliśmy na lodzie, na prawym boku i na przodzie okrętu.

W czasie wicherzy ryk lodu zbliża się i nagle

posłyszeliśmy jakby nad nami straszne zgrzytnięcie. Jednym skokiem znalazłem się na pokładzie. Teraz przygotowuje się nowy atak z drugiej strony. Z prawego boku okrętu lód, dotychczas spokojny, zaczyna się poruszać. Otworzyła się tam szczelina, sięgająca aż do tyłu okrętu, która zagraża naszym składom. To samo w kilka chwil powtarza się z lewego boku okrętu. Lód łamie się; jednocześnie fala wody podrywa psiarnię. Nie mamy ani minuty do stracenia, śpieszymy ratować psy. Petersen odważnie rzuca się do wody i spuszcza je z łańcucha. Kilka psów, wskutek przestrawienia, nie chce opuścić budy i trzyma się, przyczaiwszy, w kącie. Gwałtem wyciągamy je, ażeby nie potonęły.

Po południu, w celu zabezpieczenia się na wszelki wypadek, umieściliśmy na pagórku lodowym zapasy na 200 dni razem z namiotami, piecami i wszelkimi rzeczami, potrzebnymi do odwrotu. Ten zwal lodu jest bardzo mocny i zapewne potrafi się oprzeć najgwałtowniejszym naciskom.

Podczas nocy ludzie będący na warcie otrzymują rozkaz, ażeby czuwali nad ruchami lodu, zwłaszcza w pobliżu składów, i w razie najmniejszego niebezpieczeństwa uprzedzili mnie o niem.

4 stycznia. Po nocy względnie spokojnej, ławica zaczyna się poruszać w dzień. Od wpół do dziewiątej wieczorem powracają naciski. Szczeliny otwierają się w lodzie, a jednocześnie rosną pagórki, grożące co chwila spadnięciem na pokład. A ponad tą wspaniałą sceną spustoszenia księżyc świeci jasno, pozwalając nam śledzić postępy ataku.

5 stycznia. O piątej rano Sverdrup oznajmia

mi, że pagórek lodowy zbliżył się do „Frama“, należy się więc spodziewać, że lada chwila spadnie na pokład.

Ryk jest straszny, grzmoty huczą bez ustanku, możnaby myśleć, że zbliża się dzień sądu ostatecznego.

O 8-ej wieczorem, po całodzienniej przerwie, znów zaczęły się ataki, straszniejsze niż kiedykolwiek.

Wynieśliśmy wszystkie rzeczy z okrętu i skierowaliśmy się ku magazynowi. Ryk lodu, łamiącego się w uderzeniach o okręt, jest tak ogłuszający, że zaledwie możemy rozmawiać między sobą.

Jest to ostatni wysiłek ławicy. Powoli wszystko się uspokaja, słabną odgłosy i nastaje niczem nieprzerwana cisza.

Ale co to za widok! Lewy bok okrętu cały zawałony jest śniegiem i lodem.

„Fram“ jest bardzo trwały, jeżeli mógł się oprzeć takiemu naciskowi. Przechyliwszy się na 7°, powoli wyprostował się, uwolnił się od tej olbrzymiej, naciskającej go masy lodu i już znajduje się po za niebezpieczeństwem. Wiele hałasu o nic; takim jest w rzeczywistości rezultat strasznych wstrząśnień ławicy.

6 stycznia. Dziś mamy dzień odpoczynku, bardzo przyjemny po wczorajszych wzruszeniach. Całe po południe spędzamy na uprzątnięciu brył lodowych, które zawałyły pokład.

W południe Hansen oznajmia nam, że dosięgliśmy 83°40', posunęliśmy się zatem o 13 mil od 31 grudnia. Ostatecznie płyniemy stanowczo ku półno-

cy. Dla uświęcenia przejścia tej szerokości podają nam wieczorem wazę ponczu, owoce suszone i ciastka. Wczoraj pracowaliśmy gorliwie nad uratowaniem życia, a dziś oddajemy się radości, pijąc poncz i rozmawiając wesoło.

7 stycznia. Słysząc kilka zgrzytów; później wszystko wraca do porządku.

Dziś, w towarzystwie Sverdrupa, zrobiłem spacer w okolicy okrętu. Sprawdziliśmy, że w niezna- cznej od niego odległości, lód nie pokazuje śladów załamania, przeciwnie, jest zupełnie jednolitym. Wno- szę z tego, że naciski ograniczyły się do pasa o ma- łej powierzchni, a „Fram“ znalazł się w miejscu naj- silniejszych wstrząśnień.

8 stycznia. Dziś znów ławica zadrżała kilka- krotnie, bez żadnych zresztą następstw. Po południu próbuję odfotografować „Frama” przy blasku księży- ca; otrzymuję doskonały rezultat. Wierzchołek pa- górka lodowego, który groził zasypaniem okrętowi, jest w części zniesiony, a zatem klisza nie przed- stawia jego rzeczywistych wymiarów i istotnego po- łożenia.

Ławica przybrała pozór spokoju. Uwolniwszy się od troski o nią, oddaję się znów przygotowaniom do odjazdu. 3-go lutego dosięgnęliśmy 83°43'; w kil- ka dni później cofamy się o 11 mil ku południowi. Wciąż te zmiany postępu naprzód i cofania się. Lecz 10 lub 12 mil mniej lub więcej nic nie stanowi w ta- kiej wyprawie.

10 lutego. Już zaczyna ukazywać się światło dzienne. O pierwszej po południu, gdy zwrócę się ku wschodowi, mogę czytać stare gazety.



Ławica lodowa w lecie (12 lipca 1894 r.).

W dzień urządzamy wycieczkę na saniach, zaprzężonych w psy. Ławica jest płaska, a po jej jednolitej powierzchni mkniemy, jak strzały. Podróżując z taką szybkością, będziemy mogli przebiegać wielkie przestrzenie i dojdziemy do celu prędzej, aniżeli przypuszczaliśmy. Zaprawdę, straszny to spacer jechać do bieguna. Wszelki odwrót jest dla nas zamknięty, nie mamy za sobą nawet opustoszałego lądu.

26 lutego. Nadszedł dzień odjazdu. Od tygodnia wszyscy zajęci przygotowaniami. Od rana do wieczora nie mamy ani chwili odpoczynku; trzeba myśleć o wszystkim, pilnować wszystkiego, bo najmniejsze zapomnienie mogłoby nas zgubić. W ostatnich dniach nie kładłem się spać przed 3-cią lub 4-tą zrana.

Wczoraj wieczorem zegnaliśmy się wesołą ucztą. Napisałem list do żony i powierzyłem go Sverdrupowi.

4 pary sani, naładowanych bagażem i zapasami, oczekują nas. Przy odgłosie wystrzałów karabinowych dano znak do odjazdu. Psy szczekają, a towarzysze nasi wnoszą głośnie hura.

Z początku posuwamy się bardzo powoli. Lód w tem miejscu jest bardzo pochyły. Potrzebujemy pomocy wszystkich towarzyszków, aby wdrapać się na spadzistość, wznoszącą się przed nami. Szczęściem Sverdrup, Hansen, Blessing, Henryksen i Mogstad ofiarowali się towarzyszyć nam w ciągu pierwszego dnia wyprawy i oni to podają nam skuteczną pomoc. Dalej, po gładkiej i równej powierzchni, psy

ciągną sanie z szybkością wiatru. Nawet na „ski“ nie możemy podążyć za nimi. Gdy się to dzieje, spostrzegamy, że jedne sanie są uszkodzone. Musimy zatem powrócić na pokład.

Podczas gdy zajęci jesteśmy naprawą sani, wieje wiatr z południo-wschodu i pędzi na północ. Wczoraj znajdowaliśmy się pod $83^{\circ} 47'$, dziś jesteśmy pod $83^{\circ} 50'$.

28 lutego odjeżdżamy znów. Orszak posuwa się wolno; aby ułatwić pochód, odrzuciłem kilka worków z zapasami dla psów. O 4-ej godzinie po obiedzie zatrzymujemy się na popas. W ciągu dnia przebiegliśmy 4 mile¹⁾). Wieczór upłynął nam bardzo przyjemnie i wesoło w towarzystwie wielu naszych kolegów z „Frama“ i dopiero o 11-ej udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz, przy pożegnaniu, Sverdrup wziął mnie na stronę. „Mam do pana interes—rzekł mi;—gdyby pan przed nami wrócił do Norwegii i gdyby miał zamiar odbyć podróż do bieguna południowego, proszę być tak dobrym i poczekać na mnie, gdyż chciałbym bardzo towarzyszyć panu.“

A teraz jesteśmy sami, ja i Johansen, wśród olbrzymiej ławicy podbiegunowej. Teraz, gdy jesteśmy pozbawieni pomocy naszych towarzyszków, pochód jest bardzo uciążliwy. Lód jest pogięty i połamany, a ciągnięcie sani przez nierówności gruntu jest i zmudnem i wolnem. 2-go marca nie postępujemy

¹⁾ Mila = 1.8 kilometra. Mierzenie odległości uskutecznia-
ne było przy pomocy przyrządu, zrobionego na pokładzie i przy-
wiązanego z tyłu sanek.

wcale prędeej. Z dnia na dzień zapasy będą się zmniejszać, a z niemi i ciężar, i po pewnym czasie pochód nasz będzie szybszy. Ale może te wysiłki zbyt wycieńczą psy, które i tak ucierpiały wskutek mrozu ostatniej nocy. Postanowiłem więc raz jeszcze powrócić, zmniejszyć ciężar naszych bagaży i poczekać aż temperatura się nieco podwyższy. Powrót mój został przywitany radosną nowiną, że „Fram“ dosięgnął 84° szer. pół.

Następne dni poświęcamy udoskonaleniu sani i zmniejszeniu ilości bagaży. Przedtem nim zdam relację z podróży do bieguna, nie powinien być zbyt cennym krótki opis tego, co uważaliśmy za potrzebne zabrać z sobą.

Wzięliśmy dwa kajaki i 3 pary sani, zbudowanych na wzór tych, które używałem w Grenlandyi, namiot jedwabny, ważący 1 kilogram, wór do spania ze skóry renifera i piecyk naftowy z 16 litrami zapasu opalowego.

Przyrząd ten w wyprawach podbiegunowych gra wielką rolę. Od dobrej budowy jego i od ilości ciepła, które daje, zależy w znacznej części pomyślny stan karawany, a zatem i dobry wynik podróży. Nasz piecyk składał się z pomieszczenia środkowego, przeznaczonego do gotowania potraw, i z dwóch przedziałów bocznych, napelnianych lodem i śniegiem, które dostarczały nam wody do picia. Czwarty rezerwuar, mieszczący się u góry, służył do tego samego celu. Dzięki temu układowi 90—93% ciepła obracało się na pożyteczne działanie. Cały aparat, zbudowany z białego metalu i z glinu, ważył wszystkiego 4 kilogramy.

Broń, którą zabraliśmy z sobą, składała się z 2 dubeltówek z jedną lufą gwintowaną na grubszą zwierzynę i z drugą gładką na ptaki; zapasy amunicji stanowiło 180 naboju z kulami i 150 ze śrutem. Prócz tego wzięliśmy mały teodolit, zbudowany specjalnie na tę wycieczkę, sekstans kieszonkowy, kilka kompasów, barometr, aneroid, trzy termometry rtęciowe, dwa termometry spirytusowe z minimum, lunetę i aparat fotograficzny.

Zapasy nasze składają się głównie z mięsa i ryb suszonych i sproszkowanych dla łatwiejszego trawienia, z sucharów z chleba, w końcu z 39 kilogr. masła.

Ubranie nasze składa się z 2 koszul płóciennych, kamizelki z wielbłądziej sierści, grubej jersey'i, dwóch par kalesonów płóciennych, surduta z grubego płótna dla ochrony od śniegu. Na nogach mieliśmy mocassiny lapońskie, a na głowie czapki pilśniowe, z dwiema podszewkami sukienkami.

Calkowity ciężar zabranych przez nas rzeczy razem z saniami wynosił 663 kil., rozdzielone równo na każdy z trzech pojazdów.

ROZDZIAŁ VI.

Przez ławicę.

14 marca w południe opuszczamy ostatecznie „Fram“ wśród głośnego „hura“ naszych towarzyszków.

Kilku z nich odprowadza nas i pomaga ciągnąć ciężko naładowane sanie. Wkrótce żegna nas Sverdrup, który musi powracać na okręt, aby przydować przy obiedzie. Na wierzchołku lodowego pagórka ściskamy sobie serdecznie ręce. Z ciężkim smutkiem patrząc, jak oddala się ten człowiek, dobry i życzliwy przyjaciel, którego pomoc była dla mnie tak drogocenną. Hansen, Henryksen i Peterson będą nam towarzyszyli aż do jutra.

Lód, z początku gładki i jednolity, staje się wkrótce pogiętym i połamanym. Dla przejścia rozmaitych wyniosłości musimy dość długo nieść sanie. Wielka to praca, która wystawia siłę i cierpliwość naszą na ciężką próbę. Niemniej nie mamy powodu martwić się. Zrobiliśmy dziś 7 mil.

Mały nasz namiot może pomieścić w sobie pięć osób. Pobyt w nim wydaje się nam po ciężkiej całodniowej pracy bardzo przyjemnym. Peterson, siedząc przed filiżanką czekolady z biszkoptem w jednej, a z kawałkiem masła w drugiej ręce, wykrzykuje: „Usadowiłem się, jak książę“. Dzielny ten chłopiec błagał mnie, abym zabrał go z sobą, ofiarowując się spełniać wszystkie czynności, jakie tylko podoba mi się mu polecić; ku wielkiemu memu zmartwieniu zmuszony byłem odmówić mu. Towarzysze nasi, niezaopatrzeni w wory do spania, zmuszeni są nocować w chatce ze śniegu, obwinawszy się futrami. Nazajutrz, gdy się obudziłem, ujrzałem Petersona, spacerującego wzdłuż i wszerz dla rozgrzania się. Nie przypuszczał on nigdy, że można spać na śniegu; przyznaje jednakże, że spędził noc wcale nieźle.

Po pełnem zapału i wesołości śniadaniu zaprę-

gliśmy psy do sanek i dałem hasło do odjazdu. Żegnamy się po raz ostatni z naszymi towarzyszami i zapuszczamy się w wielką lodową pustynię, gdzie podczas długich miesięcy będziemy żyli samotni, bez nadziei pomocy.

Posuwamy się z początku bardzo szybko po jednolitej, gładkiej powierzchni lodu. Nieco dalej pagórki, wznoszące się tu i owdzie, zmuszają nas do niesienia sanek. Zmęczeni tą uciążliwą pracą, zatrzymujemy się o 6-ej wieczorem. Dziś przejechaliśmy 9 mil.

W ciągu dni następnych napotykaemy wszędzie lód płaski i niekiedy przebiegamy przeszło 14 mil na dzień. Czasami jakiś niefortunny wypadek zmusza nas do tracenia czasu. Tak naprzykład raz igła lodowa przekłóła nam worek rybiej mąki i drogocenna żywność poczęła się sypać na ziemię. Zmarnowaliśmy przeszło godzinę czasu, aby zebrać wszystko i uszyć worek.

W niektórych miejscach ławica, nadzwyczaj zbita i najeżona wysokimi pagórkami, robi wrażenie kraju falistego, zasypanego śniegiem. Należy przypuszczać, że lód ten jest bardzo dawny i że podlegał strasznym naciskom w czasie długiej drogi, jaką odbył płynąc przez ocean Północny od brzegów Syberyi ku Grenlandyi. Pagórki lodowe, które wytworzyły się na nim w czasie gwałtownych wstrząśnień, jakim podlegały lodowiska, po częściowem stajaniu podczas lata, zostały pokryte następnej zimy grubą warstwą śniegu. Więc robią wrażenie raczej falistości gruntu, aniżeli zwałów lodowych.

20 marca. Słońce świeci prześlicznie; czas jest

cudowny, ale bardzo zimny, zwłaszcza w nocy. Temperatura dochodzi 41° do 42° poniżej zera.

Im dalej posuwamy się, tem lawica jest bardziej jednolita. Wczoraj zgubiliśmy narzędzie do mierzenia długości drogi. Na poszukiwanie go musieliśmy stracić kilka godzin. Postanowiłem więc obywać się nadal bez niego. Obecnie będziemy oceniali odległość tylko mniej więcej dokładnie. Tego samego dnia spotkał nas inny nieprzyjemny wypadek. Jeden z naszych psów zachorował tak ciężko, że nie możemy go zaprzęgać. Byliśmy już od dość dawna w drodze, gdy spostrzegłem, że nie idzie za nami; puściłem się natychmiast na jego poszukiwanie i znalazłem go w tem miejscu, gdzie zatrzymaliśmy się zrana. Więc znów straciliśmy kilka godzin czasu.

21 marca. Dziś zrana temperatura była 42° . Zawsze jest ślicznie i jasno. W czasie takiego mrozu nie jest zbyt przyjemnie łątać mokossiny.

22 marca. Od jedenastej rano do 8-ej wieczorem przebiegliśmy około 21 mil. Przeszliśmy już 85 sz. półn. Niebo jest jasne, a mróz straszny. Dziś jest jeszcze zimniej, wskutek chłodnego wiatru północno-wschodniego. W nocy termometr spadł do 42° . W dzień odzienie nasze pokrywa się lodowym pancerzem. Wieczorem wskutek ciepła, udzielonego przez wory do spania, przesiąkamy wilgocią.

Przed zatrzymaniem się na popas przebywamy szeroki wodozbiór, podobny do jeziora. Lód, który go pokrywa, jest bardzo cienki, a zatem świeży. Utworzenie się wody w tej porze roku i w takiej szerokości jest faktem godnym uwagi.

23 marca. Nadchodzi czas robienia spostrze-

zeń astronomicznych, przyprowadzania wszystkiego do dobrego stanu i porządku; jest 3 godzina po południu. O 9-ej wieczorem zatrzymujemy się przed szeregiem wzgórz takich, jakie napotkaliśmy na początku podróży; dotychczas ławica była prawie zupełnie płaska i dlatego przebiegaliśmy około 14 mil dziennie. Teraz przybyliśmy do końca tej powierzchni lodowej, po której posuwaliśmy się z szybkością strzały. Poczynając od tego miejsca, będziemy napotykali coraz nowe trudności.

24 marca. Lód zaczyna być bardzo nierówny. Na każdym kroku napotykamy łańcuchy wzgórz, przez które musimy przenosić sanie. Długa to i niebezpieczna praca; obarczeni tak wielkim ciężarem, możemy co chwila upaść i złamać rękę, albo nogę.

Zabijamy psa, który nie może podążyć za nami i rzucamy zwłoki jego towarzyszom. Te ostatnie tymczasem są dzisiaj bardzo wybredne; wielu z nich nie chce dotknąć szczątków swego brata i zasypia, nie jedząc. Pozostawmy je w spokoju; głód niezadługo odniesie zwycięstwo nad wstrętem. Za kilka tygodni nieszczęśliwe zwierzęta będą rzucać się na trupy swych bliźnich i w mgnieniu oka połkną wszystko, nie wyłączając sierści.

25 marca. Ciągłe napotykamy szeregi pagórków. Jesteśmy wycieńczeni przenoszeniem sani przez te wyniosłości. W czasie tak ciężkiej podróży sen ogarnia nas natychmiast, gdy zbliży się wieczór, a z nim i chwila odpoczynku. Oczy zamykają się pomimo woli i zaledwie wyciągniemy się na ziemi, zasypiamy głęboko. Zazwyczaj urządzamy obozowisko w miejscu, zabezpieczonem od wiatrów, za pa-

górką, lub całym ich łańcuchem. Gdy Johansen zajęty jest psami, ja rozpinam namiot i przygotowuję wieczerzę. Przeniosłszy do namiotu zapasy na kolację i śniadanie, wsuwamy się do worów, aby uwolnić z lodu naszą odzież. Para, wydobywająca się w ciągu dnia z naszego ciała, zgęszcza się na powierzchni naszego odzienia w lodowatą skorupę. Rękawy mojej kurtki są twarde, jak kamień, a tarcie ich o ręce otwiera w ciele mem głębokie rany. Rana, którą mam na prawej ręce, wciąż się powiększa; prawdopodobnie zachowam bliznę po niej przez całe życie. Ubrania tają w worach bardzo powoli; próżno przyciskamy się jeden do drugiego, przeszło 1½ godziny upływa nim się ogrzejemy cokolwiek. Po dłuższym czasie odzienie nasze mięknie, lecz nazajutrz, zaledwie wyjdziemy z namiotu, staje się napowrót twardem.

Wieczorem jest najprzyjemniejsza chwila z całego dnia. Podczas długich godzin oczekujemy jej niecierpliwie, a gdy wreszcie nastąpi, spożywamy skromną strawę z przyjemnością. Bardzo często jesteśmy tak zmęczeni, że sen odnosi zwycięstwo nad apetytem. A wtedy mimowoli zamykamy oczy i zasypiamy z łyżką w ręku. Po wieczerzy pozwalamy sobie zwykle na mały dodatek: jest nim filiżanka wody gorącej, w której rozpuszczamy proszek mleczny. I wtedy mamy złudzenie, że pijemy gorące mleko. Napój ten rozgrzewa nam całe ciało. Po tem wszystkim zamykamy się w workach, a wtedy ciszę, panującą nad ławicą, przerywa chyba tylko odgłos naszych chrapań i okrzyków, wywołanych przez sny niespokojne.

Rano czynności kucharskie zmuszają mnie pierwszego do wstania. Praca ta zajmuje mi godzinę czasu, gdy zaś śniadanie jest już gotowe, wstaje Johansen. Zasiadamy wtedy do stołu, a właściwie przed koldrą rozpostartą na ziemi, na wzór obrusa. Po śniadaniu piszemy dzienniki, poczem puszczamy się w drogę. Jest to chwila bardzo przykra i często dałbym wiele, abym mógł napowrót dostać się do łóżka i spać ciepło i dowoli.

Idę na czele małej naszej karawany i wyznaczam drogę; za mną postępują sanki, ciągnące mój kajak, w końcu Johansen z dwoma drugimi pojazdami, zajęty popędzaniem psów to głosem, to batem i popychaniem sani na wzgórze lodowe. Przed każdą wyniosłością psy się zatrzymują. Od początku aż do końca podróży ta była dla nich długim i powolnym cierpieniem. Nawet w tej chwili czuję dreszcze, gdy sobie przypomnę, z jaką zjadłością okładaliśmy je batami, gdy się zatrzymywały, niezdolne posuwać się dalej. Tymczasem szliśmy ku biegunowi i żadne uczucia litości nie mogły nas krępować. Przedsięwzięcia takie, jak nasze, zabijają w człowieku wszelką uczuciowość i pozostawiają tylko nagi egoizm.

Urządzenie obozowiska, dawanie psom stawy, przygotowanie pożywienia i upakowanie wszystkiego po każdym popasie zajmowało wiele czasu. Wedle przyjętego przez nas zwyczaju, nigdy nie szliśmy dłużej, jak 9—10 godzin dziennie. Po południu przerywaliśmy pochód, aby spożyć podwieczorek; nie była to bardzo przyjemna uczta. Pomimo to, że zawsze staraliśmy się wynaleźć miejsce zasłonięte od

wiatrów, zimne powiewy tak nas przejmowały, że dla rozgrzania się musieliśmy jeść idąc.

Wielu podróżników podbiegunowych skarżyło się na straszne cierpienia, sprawione pragnieniem. Najczęściej powodowane były one nieostrożnem połknięciem śniegu. Aby się uchronić od tego, wziąłem kilka małych butelek kauczukowych, które zrana napełnialiśmy wodą i które następnie niosłem na pierśsiach, aby nie zamarzły. Ku wielkiemu zdziwieniu, bardzo rzadko zachodziła potrzeba posługiwać się niem. Uniknęliśmy tych cierpień dzięki doskonalej budowie piecyka, który, przy bardzo nieznacznem spożyciu opalu, dostarczał nam więcej niż było potrzeba wody.

29 marca. Posuwamy się bardzo powoli. Ławica nie jest tak dogodną, jak pierwotnie przypuszczałem. Wciąż napotykaemy zwały lodowe i tracimy wiele czasu, aby je przebyć. Przed wynalezieniem wolnego przejścia między wzgórzami jeden udaje się naprzód dla rozpoznania drogi, co zwykle zabiera nam dużo czasu. Tymczasem psy skaczą na prawo i na lewo, płaczą zaprzęgi, a zaledwie doprowadzimy wszystko do porządku, kłopot zaczyna się nanowo.

Wczoraj po obiedzie wzmógł się wiatr północno-wschodni, a niebo pokryło się chmurami.

Z radością witamy przepowiednię łagodniejszej pogody. W istocie wieczorem termometr nie spada poniżej — 34°. Po raz pierwszy od długiego czasu nie skarżymy się na mróz w worach do spania.

Nazajutrz słońce świeci jasno na niebie bez chmur.

Ławica wciąż jest pocięta, połamana i najeżona przeszkodami.

Wieczorem wreszcie przybywamy na powierzchnię zupełnie jednolitą i gładką, jakiej oddawna nie napotkaliśmy. A dalej znów te same wzgórza, utworzone ze zwałów olbrzymich brył lodowych. Po nieopisanych trudach pozostaje nam do przebycia jeden tylko łańcuch, oddzielony głęboką szczeliną, szeroką na 4 metry. Wszystkie psy, zaprzężone do przednich sani, wpadają w ten otwór. A więc znowu daremna praca wydobywania ich ztamtąd. Drugi pojazd wpada także, na szczęście, bez wielkiej szkody. Po tem wszystkiem musimy wyprzęgać psy i zaprzęgać je nanowo, i znów tyle czasu tracimy na próżno. Nauczeni doświadczeniem, ostrożniej przechodziliśmy z trzeciemi sankami.

Wieczorem, w czasie obozowania, temperatura znów spadła do -43° .

31 marca. Pod wpływem południowego wiatru robi się znacznie cieplej. Bardzo wczesnie zrana termometr wskazuje -30° ; prawdziwy letni czas. Odjeżdżając, posuwamy się po gładkim lodzie. W dzień nagle przed nami w ławicy otwiera się szeroki kanał. Zaledwie przebyłem go z pierwszemi saniami, gdy zaczął się rozszerzać, przecinając drogę reszcie karawany. Tymczasem wielki kawał lodu łamie się pod nogami Johansena. W czasie upadku towarzysz mój przemoczył nogi, co mogło pociągnąć za sobą najzłubniejsze następstwa. Kanał jest bardzo długi; nigdzie nie spotykamy brodu. Położenie staje się krytycznem. Znajduję się po jednej stronie kanału razem z jednemi saniami i namiotem, po drugiej pozostał

Johansen z dwoma drugimi pojazdami, przemoczony i przeziębły. Nie możemy się posługiwać kajakami. Po wstrząśnieniach, jakim ulegały, pudła ich są potrzaskane. W końcu po długich poszukiwaniach udało mi się znaleźć „most“.

Natychmiast po przeprowadzeniu sani urządzamy obozowisko, aby uwolnić Johansena od pokrywającej go skorupy lodowej i aby go rozgrzać. Każdego rana przygotowania do odjazdu zajmują nam wiele czasu. Niekiedy potrzebujemy 7 godzin, aby zwinąć namiot, upakować wszystko, naładować sanie i poprawić uszkodzenia. Spożyliśmy zawartość jednego pudełka i musimy zacząć nowe. Później spostrzegam, że jeden z worków został przedziurawiony i musimy go naprawić. Gdy raz już sanie są przygotowane do wyjazdu, pozostaje nam jeszcze praca rozplątania zaprzęgów, powikłanych przez psy.

2 kwietnia. Wieje silny wiatr południowy; grunt staje się coraz gorszy. Przebywanie wciąż nowych łańcuchów wzgórz wymaga szalonych wysiłków. W niektórych miejscach warstwa śniegu jest zbyt cienką, abyśmy mogli posługiwać się łyżwami „ski“, dlatego co chwila zapadamy się. Pod niebem, okrytem szaremi obłokami, wszystko wydaje się jednostajne i rozpaczliwie białe. Dla wynalezienia lepszej drogi każdy z nas puszcza się w inną stronę, aby zbadać okolicę. We wszystkich kierunkach spotykamy to samo. W południe mróz osiąga — 31°

3 kwietnia. Wczoraj wyjechaliśmy o 2½ po południu. Czas jest prześliczny, lód stosunkowo gładki; dlatego z początku posuwamy się dość szybko.

Jeszcze raz tracimy nadzieję: oto znów przed

nami łańcuch wzgórz, a za niemi szeroki kanał, pokryty świeżym lodem, który nie może unieść naszego ciężaru. I dalej grunt nie jest lepszym. Około północy zatrzymaliśmy się na popas. Znow musieliśmy poświęcić jednego psa. Zwłoki jego, podzielone na 26 części, rozdajemy jego braciom; i tym razem 6 z nich nie chce wziąć udziału w uczcie. Według spostrzeżeń południkowych, znajdujemy się pod $85^{\circ} 59'$, a zatem postępujemy nadzwyczaj powoli. Prawdopodobnie prądy muszą unosić ławicę ku południowi, gdy my posuwamy się na północ. Jesteśmy w zależności od wiatrów i biegu wody — najdziwniejszem położeniu, w jakim można sobie wyobrazić podróżnika podbiegunowego. — Zaczynam przychodzić do wniosku, że najmądrzej zrobimy, gdy się cofniemy w porę. Odległość, dzieląca nas od ziemi Franciszka Józefa, jest trzy razy większą od przestrzeni przebytej od 14 marca, t. j. od chwili opuszczenia okrętu.

W tym kierunku ławica nie będzie dogodniejszą do podróży, niż w okolicach, w których się obecnie znajdujemy, a zatem pochód nasz nie będzie przędszym. Prócz tego nieznaną topografię archipelagu Franciszka-Józefa wystawi nas na opóźnienie. Nareszcie w okolicach tych możemy wcale nie spotkać zwierzyny. Oddawna już mam to przekonanie, że nie zdołamy dojść do bieguna lub w jego bezpośrednie sąsiedztwo; ławica jest tak połamana, a psy są za słabe. Gdybym przynajmniej miał większą ich liczbę! Wiele dałbym za to, aby posiadać w tej chwili psiarnię z Ołoneku. W każdym razie, prędzej lub później, będziemy zmuszeni cofać się.

4 kwietnia. Wyjeżdżamy o 3 zrana. Ciągłe: przebywamy wzgórze lodowe, a pomiędzy nimi szerokie kanały, oblamowane zwałami brył lodowych. W czasie przepływania szczelin sanie albo jeden z nas pogrąża się w wodę. Kąpiele takie nie są zbyt przyjemne; osuszyć się jest trudno przy 30° mrozu.

Znajdujemy się pod 86° 2' 8" szer. pół. i 95° 47' 15" długości od południka w Greenwich.

6 kwietnia. O drugiej zrana temperatura wskazywała — 24,2°. Idziemy po coraz gorszym lodzie; ciągle jedne i te same wzgórze, podobne do starożytnej moreny. Kilka z tych pagórków dosięga wysokości 10 metrów. Ciągnięcie sani po takim gruncie zmęczyłoby nawet olbrzymów. W ciągu dzisiejszego dnia przeszliśmy zaledwie 4 mile.

Wczoraj straciłem wszelką nadzieję, że będziemy mogli ciągnąć dalej podróż; dzisiaj zdecydowany jestem wracać.

Jeszcze jeden dzień będziemy szli naprzód i jeżeli przekonamy się, że lód i dalej jest tak samo niebezpieczny, cofniemy się, gdyż byłoby szaleństwem iść dalej. Po takim lodzie nie zaszlibyśmy daleko i jeżeli ławica będzie taką samą aż do ziemi Franciszka Józefa, powrót będzie bardzo powolny.

8 kwietnia. Wyjeżdżamy o 2 zrana. Ławica staje się coraz trudniejszą do przebycia. Puszczam się naprzód na łyżwach „ski“ celem rozpoznania gruntu. Ze wzgórze, na które się wdrapałem, nie widać nic innego, prócz chaosu poprzewracanych brył lodowych. Byłoby to szczytem zuchwalstwa w takich warunkach posuwać się dalej ku biegunowi. Wskutek tego postanowiłem cofnąć się do przylądka

Fligely, ziemi najwyżej położonej na archipelagu Franciszka-Józefa.

Wczorajsze obserwacje wskazały, że znajdujemy się pod $86^{\circ} 10'$ szer. pół. i 95° dług. wsch. od Greenwich.

By uczcić godnie chwilę dotarcia do tak dalekiej północy, urządziliśmy ucztę, składającą się z potrawy mięsnej, sucharów, masła, czekolady i konfitur z borówek, a po dłuższym wypoczynku ruszamy w pochód ku południowi.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

